



MICHAŁ BUŁHAKOW

Fatalne jaja


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

MICHAŁ BUŁHAKOW

Fatalne jaja

TŁUM. EDMUND JEZIERSKI

ROZDZIAŁ I. PROFESOR PIERSIKOW

16 kwietnia 1928 r., wieczorem, profesor zoologii IV uniwersytetu państwowego i dyrektor zooinstitutu w Moskwie, Piersikow, wszedł do swego gabinetu, mieszczącego się w zooinstytucie, przy ul. Hercena. Profesor zapalił górną matową lampkę i obejrzał się.

Jako początek przerażającej katastrofy należy właściwie uważać ten nieszczęsny wieczór, jak również za pierwszą przyczynę tej katastrofy

należy uważać właśnie profesora Włodzimierza Ipatiewicza Piersikowa.

Miał on akurat 58 lat. Głowa interesująca, z sensem, łysa, z kępkami żółtawych włosów, sterczących po bokach. Twarz gładko wygolona, dolna warga wysunięta naprzód, skutkiem czego twarz Piersikowa nosiła pewien cokolwiek kapryśny wyraz. Na czerwonym nosie staromodne maleńkie okulary w srebrnej oprawie, oczki błyszczące, niewielkie, wzrost wysoki, przygarbiony. Mówił skrzypiącym, cienkim, kwakającym¹ głosem i wśród innych dziwactw miał takie: kiedy mówił cokolwiek ważnego i pewnego, palec wskazujący prawej ręki zakrzywiał w haczyk i mrużył oczki. A że mawiał zawsze z przekonaniem, gdyż erudycję w owej dziedzinie posiadał wprost doskonale fenomenalną, to haczyk bardzo często pojawiał się przed oczami rozmawiających z profesorem Piersikowem. A poza swoją dziedziną, tj. zoologią, embriologią, anatomią, botaniką i geo-

¹kwakający — dziś popr.: kwaczący. [przypis edytorski]

grafią, profesor Piersikow prawie nic nie mówił.

Gazet profesor Piersikow nie czytał, do teatru nie chodził, a żona profesora uciekła od niego z tenorem opery Zimina w 1913 r., pozostawiając notatkę takiej treści:

„Nie do zniesienia drzenie wstrętu budzą we mnie twoje żaby. Całe życie będę przez nie nieszczęśliwą”.

Profesor więcej nie ożenił się i dzieci nie miał. Był bardzo zapalczywy, lecz łatwo zapominający urazy, lubiał² herbatkę z malinami, mieszkał na Preczystenkie, w mieszkaniu pięciopokojowym, z których jeden zajmowała chudziutka staruszka, gospodyni Maria Stiepanowna, pilnująca profesora jak niańka.

W r. 1919 profesorowi z 5 pokoi zabrali 3. Wtedy oznajmił Marii Stiepanownie:

— Jeżeli nie zaprzestaną tych nieprzyzwoitości, Mario Stiepanowno, wyjadę zagranicę.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby profesor wykonał ten plan, bardzo łatwo udałoby mu

²lubiał — dziś popr. forma 3.os.lp. cz. przesz.: lubił. [przypis edytorski]

się uzyskać katedrę zoologii w każdym uniwersytecie świata, gdyż był uczonym pierwszorzędnym, a w tej dziedzinie, która tak czy inaczej dotyczy ziemnowodnych lub nagich gadów, równych sobie nie miał z wyjątkiem profesorów Wiliama Weeckly w Cambridge i Oiacomo Bartolomeo Beccari w Rzymie. Wykładał profesor w 4 językach, oprócz rosyjskiego, a po francusku i po niemiecku mówił jak po rosyjsku. Zamiaru swego co do zagranicy Piersikow nie wykonał, i dwudziesty rok był jeszcze gorszym od dziewiętnastego. Zaszły wypadki i przy tym jeden za drugim. Wielką Nikitską przemianowali na ulicę Hercena. Potem zegar, wprawiony w ścianę domu na rogu Hercena i Mochowej, zatrzymał się na II z 1/4 i w końcu, w terrariach instytutu zoologicznego, nie przeniósłszy³ wszystkich perturbacji⁴ znakomitego roku, zdechło początkowo 8 wspaniałych egzemplarzy ropuch, potem 15 zwykłych żab i w końcu wyjątkowy egzemplarz żaby surinamskiej.

³przenieść — tu: znieść, przetrwać. [przypis edytorski]

⁴perturbacje — komplikacje (dosł.: zawirowania). [przypis edytorski]

Bezpośrednio w ślad za żabami, które opustoszyły ten pierwszy oddział gołych gadów, który zgodnie ze sprawiedliwością nazwany był klasą gadów bezogonowych, przeniósł się do lepszego świata niezmienny stróż instytutu, stary Włas, nie zaliczony do klasy gołych gadów. Powód śmierci jego zresztą był ten sam, co i u biednych gadów, i Piersikow określił go od razu:

— Brak pokarmu!

Uczony miał zupełną słuszność: Własa trzeba było karmić mąką, a żaby robakami mącznymi, lecz gdy tylko zginęła pierwsza, znikły i drugie. Piersikow pozostałe 20 egzemplarzy ropuch spróbował przenieść na karmienie karaluchami, lecz i karaluchy gdzieś przepadły, wykazując przez to swój złośliwy stosunek do wojennego komunizmu. W ten sposób i ostatnie egzemplarze trzeba było wyrzucić do śmietnika na podwórzu instytutu.

Wpływ śmierci, a w szczególności żaby surinamskiej, na Piersikowa nie da się opisać. W śmier-

ciach tych całkowicie oskarżał ówczesnego narkoma⁵ oświaty.

Stojąc w czapce i kaloszach na korytarzu zamarzającego instytutu, Piersikow mówił do swego asystenta Iwanowa, wytwornego gentelmana z ostrą blond bródką:

— Wszak za to jego, Piotrze Stiepanowiczu, zabić ma! Cóż oni robią? Wszak oni zgubią instytut! Co? Niezrównany samiec, wyjątkowy egzemplarz, *Pipa americana*⁶, długości 13 centymetrów...

Dalej poszło jeszcze gorzej. Po śmierci Własa okna w instytucie przemarzły na wskroś tak, że kwiecisty lód siedział na wewnętrznej powierzchni szyb. Zdechły króliki, lisy, wilki, ryby, i wszystkie co do jednego węże. Piersikow począł milczeć całymi dniami, potem zachorował na zapalenie płuc, lecz nie umarł. Kiedy przyszedł do sił, przychodził 2 razy w tygodniu do instytutu i w okrągłej sali, gdzie było

⁵*narkom* — ros. skrót od *narodnyj komisar*, tj. komisarz ludowy. [przypis edytorski]

⁶*Pipa americana* (łac.) — żaba surinamska a. grzbietoród amerykański. [przypis edytorski]

zawsze, dlaczego⁷ niezmieniając się, 5 stopni mrozu, niezależnie od tego, ile na ulicy, wykladał w kaloszach, w czapce z nausznikami i w szaliku, oddychając kłębami pary, 8 słuchaczom cykl wykładów na temat „Pełzające stron tropikalnych”. Cały pozostały czas Piersikow leżał u siebie na Preczystienkie na otomanie⁸, w pokoju do sufitu wypełnionym książkami, pod pledem, kasłał i patrzył w paszczę ognistego piecyka, w którym złożonymi meblami paliła Maria Stiepanowna i wspomniał żabę surinamską.

Lecz wszystko na świecie się kończy. Skończył się 20 i 21 rok, a w 21 zaczął się jakiś ruch powrotny. Po pierwsze: na miejsce zmarłego Własa zjawił się Pankrat, jeszcze młody, lecz rokujący wielkie nadzieje stróż zoologiczny, instytut poczęto opalać po trochu. A latem Piersikow, przy pomocy Pankrata, złapał w Klaimie 14 sztuk wulgarnych żab⁹. W terrariach znów

⁷*dlaczego* — z jakiegoś powodu. [przypis edytorski]

⁸*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z miękkim oparciem. [przypis edytorski]

⁹*wulgarna żaba* — błędny dosłowny przekład łac. nazwy gatunkowej *rana vulgaris* (obecnie *Bufo bufo*, tj. ropucha szara). [przypis edytorski]

zakipiało życie. W 23. r. Piersikow już wykładał 8 razy na tydzień, 3 godziny w instytucie i 5 w uniwersytecie, w 24. roku 13 razy na tydzień i oprócz tego w rabfakach, a w 25., wiosną, wsławił się tym, że na egzaminach obciął 76 osób studentów i wszystkich na gołych gadach:

— Jak to, wy nie wiecie, czym odróżniają się gołe gady od pełzających? — pytał Piersikow: to po prostu śmieszne, młody człowieku. Miedniczek nerkowych nie ma u gołych gadów. One nie istnieją. Tak jest. Wstyďte się. Wyście, prawdopodobnie, marksista.

— Marksista — gasnąc, odpowiadał obcięty.

— Tak więc, proszę bardzo, jesienią — grzecznie mówił Piersikow i rześko krzyczał do Pankrata: następnego!

Na podobieństwo tego, jak amfibie¹⁰ odżywają po długiej suszy przy pierwszym obfitym deszczu, ożył i profesor Piersikow w 1926 roku, kiedy połączona amerykańsko-rosyjska kom-

¹⁰*amfibia* — tu: łac. nazwa gromady płazów. [przypis edytorski]

pania wybudowała, poczynając od rogu zaułka Gazetowego i Twierskoj, w środku Moskwy, 15 piętnastopiętrowych domów, a na krańcach 300 robotniczych willi, każda po 8 mieszkań, raz i na zawsze skończywszy z tym strasznym i śmiesznym kryzysem mieszkaniowym, który tak gnębił mieszkańców Moskwy w lata 1919–1925.

W ogóle było to szczególne lato w życiu Piersikowa, i czasami z cichym i pełnym zadowolenia chichotem zacierał ręce, przypominając, jak się gnieździł z Marią Stiepanowną w 2 pokojach. Teraz profesor otrzymał wszystkie 5 z powrotem, rozszerzył się, rozłożył 2 1/2 tysiąca książek, wypchane zwierzęta, diagramy, preparaty, zapalił na stole w gabinecie zieloną lampę.

Instytutu też poznać nie było można: wymalowano go kremową farbą, przeprowadzono wodę specjalnym wodociągiem do pokoju gadów, zamieniono wszystkie szyby na lustrzane, przysłano 5 nowych mikroskopów, szklan-

ne stoły preparacyjne, lampy po 2000 świec¹¹ z odwrotnym światłem, reflektory, szafy muzealne.

Piersikow ożył i cały świat niespodziewanie dowiedział się o tym, gdy tylko w grudniu 1926 roku wyszła w świat broszura:

Jeszcze w kwestii rozmnożenia blaszkonośnych albo chitonów 126 str. „Wiadomości IV uniwersytetu”.

A w 1927, jesienią, kapitalna praca o 350 str., przetłumaczona na 6 języków, w tej liczbie japoński:

Embriologia pip, czesnocznic i żab. Cena 3 rb. Gosizdat!

A latem 1928 r. zaszło to nieprawdopodobne, straszliwe...

ROZDZIAŁ II. BARWNY LOK

Zatem profesor zapalił lampę i obejrzał się. Zapalił reflektor na długim stole eksperymentalnym, włożył biały fartuch, pobrzęczał jakimiś instrumentami na stole...

¹¹*świeca* — tu: daw. jednostka natężenia światła. [przypis edytorski]

Wiele z 30 tysięcy ekwipaży mechanicznych¹², mknących w 2. roku po Moskwie, przebiegło przez ulicę Hercena, szeleszcząc po gładkim bruku, i co minuta z hukiem i zgrzytem staczał się z ulicy Hercena ku Mochowej tramwaj 16, 22, 48 lub 53. linii. Odblaski różnobarwnych ogni wpadały przez lustrzane szyby gabinetu i daleko i wysoko widoczny był obok ciemnej i ciężkiej kopuły świątyni Chrystusa, mglisty, blady sierp księżyca.

Lecz ani on, ani gwar wiosennej Moskwy nic a nic nie zajmowały uwagi profesora Piersikowa. Siedział na śrubowym trójnogim taborecie i pożółkłymi od tytoniu palcami kręcił wizjer wspaniałego Zeissowskiego mikroskopu, w który był założony zwykły, niezabarwiony preparat świeżych ameb¹³. W tej chwili, kiedy Piersikow zmieniał powiększenie z 5 na 10 tysięcy, drzwi uchyliły się, ukazała się szpiczasta bródka, skórzany napierśnik i asystent rzekł:

¹²*ekwipaż mechaniczny* — tu: samochód. [przypis edytorski]

¹³*ameba* — zmiennokształtny pierwotniak. [przypis edytorski]

— Włodzimierz Ipatiewiczu, ustawiłem wnętrzności, czy niechcecie spojrzeć?

Piersikow szybko zsunął się z taboretu, porzuciwszy wizjer na półdrodze, i, powoli kręcąc w palcach papierosa, przeszedł do gabinetu asystenta. Tam, na szklannym stole, na wpół zaduszona i obumarła ze strachu i bólu żaba była rozpostarta na korkowym statywie, a jej przezroczyste galaretowate wnętrzności wyciągnięte z zakrwawionego brzucha w mikroskop.

— Bardzo dobrze — rzekł Piersikow i przyłożył oko do okularu mikroskopu.

Widocznie coś bardzo ciekawego można było zauważyć w wnętrznościach żaby, gdzie jak na dłoni widoczne, po rzekach naczyń żwawo biegły żywe kulki krwi. Piersikow zapomniał o swoich amebach i w przeciągu półtorej godziny na zmianę z Iwanowym przykładał oko do szkła mikroskopu. Przy tym obydwaj uczniowie zamieniali ożywione, lecz niezrozumiałe dla zwykłych śmiertelników słowa.

Wreszcie Piersikow odsunął się od mikroskopu, oznajmiając:

— Krew się zsiada, nic nie poradzisz.

Żaba ciężko poruszyła głową i w jej gaśnących oczach były wyraźne słowa: „kanalie z was, ot co....”

Rozprostowując zdrętwiałe nogi, Piersikow wstał, wrócił do swego gabinetu, ziewnął, przetarł palcami wiecznie rozpalone powieki i, usiadłszy na taborecie, zajrzał do mikroskopu, położył palce na wizjerze i już zamierzał przekręcić śrubkę, lecz nie poruszył jej. Prawym okiem widział Piersikow mętną białą tarczę i na niej martwe blade ameby, a pośrodku tarczy siedział barwny lok, podobny do loku kobiecego. Ten lok i sam Piersikow, i setki uczniów jego widzieli wielokrotnie i nikt nie zainteresował się nim, a i nie było czego. Barwny pęczek światła tylko przeszkadzał obserwacji i pokazywał, że preparat nie jest w ognisku. Dlatego też bezlitośnie ścierano go jednym przekręceniem gwintu, oświetlając pole równym, białym światłem. Długie palce zoologa już ściśle legły na nacięciu gwintu i naraz drgnęły i zsunęły się. Przyczyną tego było prawe oko Pier-

sikowa, naraz¹⁴ stał się czujnym, zdumiał się, przepęłnił się nawet trwogą. Nie niedołączna pośredniość¹⁵ siedziała przy mikroskopie. Nie, siedział profesor Piersikow! Całe życie, pomysły jego skoncentrowały się w prawym oku. Pięć minut w kamiennym milczeniu wyższa istota obserwowała niższą, męcząc i naprężając oko nad stojącym poza ogniskiem preparatem. Wokoło wszystko milczało. Pankrat zasnął już w swoim pokoju w westybulu¹⁶ i jeden raz tylko muzykalnie i delikatnie zadzwoniły szyby w szafkach — to Iwanow, wychodząc, zamknął swój gabinet. Jęknęły za nim drzwi wejściowe. Potem już dał się słyszeć głos profesora. Kogo on zapytywał — nie wiadomo.

— Co takiego?... Nic nie rozumiem...

Spóźniony samochód ciężarowy przejechał przez ulicę Hercena, zatrzęsłszy starymi ścianami instytutu. Płaska szklanna czarka z pin-

¹⁴*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

¹⁵*pośredniość* — tu: przeciętność. [przypis edytorski]

¹⁶*westybul* — reprezentacyjny przedpokój. [przypis edytorski]

cetami¹⁷ zadźwięczała na stole. Profesor zbladł i podniósł rękę nad mikroskopem, zupełnie jak matka nad dzieckiem, któremu zagraża niebezpieczeństwo. Teraz nie mogło być i mowy o tym, ażeby Piersikow poruszył gwint, o nie, obawiał się, ażeby jakakolwiek postronna moc nie wypchnęła z pola widzenia tego, co zobaczył.

Był w całej pełni biały poranek ze złotą smugą, przecinającą kremowy ganek instytutu, kiedy profesor odszedł od mikroskopu i podszedł na zdrętwiałych nogach do okna. Drżącymi palcami nacisnął guziczek i czarne grube story¹⁸ zasłoniły ranek i w gabinecie ożyła mądra uczo-
na noc. Żółty i natchniony Piersikow rozstawił nogi i przemówił, utkwivszy w podłodze załzawione oczy:

— Lecz jakżeż to tak?... Wszakżeż to potworne!... To potworne, panowie — powtórzył, zwracając się do żab w terrarium, lecz żaby spały i nic nie odpowiedziały.

¹⁷*pinceta* a. *pęseta* — szczypce służące do chwytania drobnych przedmiotów.
[przypis edytorski]

¹⁸*story* — zasłony. [przypis edytorski]

Milczał przez chwilę, podszedł potem do wyłącznika, podniósł store, zgasił wszystkie światła i zajrzał do mikroskopu. Twarz jego stała się naprężoną, zsunął krzaczaste żółte brwi.

— Uhu, uhu — zamruczał: przepadł. Rozumiem. R-o-o-zumiem! — przeciągnął, obłąkańczo i z natchnieniem patrząc na zagasłą kulę nad głową: — to proste.

I znów opuścił syczące story, i znów zapalił kulę. Zajrzał do kuli, radośnie i jakby drapieżnie uśmiechnął się.

— Ja go złapię — tryumfalnie i z powagą wyrzekł, podnosząc palec do góry: złapię. Być może i od słońca.

Znów podniosły się story. Słońce teraz było istotnie. Oto zalało ono ściany instytutu i ukosem położyło się na bruku Hercena. Profesor patrzył przez okno, kombinując, gdzie będzie słońce w dzień. To odchodził, to zbliżał, leciutko przytańcowując, i w końcu brzuchem położył się na desce okiennej.

Przystąpił do ważnej i tajemniczej roboty. Szklannym dzwonem nakrył mikroskop. Na błę-

kitnawym płomieniu lampki roztopił kawałek laku¹⁹ i brzegi dzwonu przypieczętował do stołu, a na plamach lakowych odcisnął swój wielki palec. Zgasił gaz, wyszedł, i drzwi gabinetu zamknął na angielski zamek.

Półmrok panował w korytarzach instytutu. Profesor dotarł do pokoju Pankrata i długo i bez powodzenia stukał do nich. W końcu za drzwiami dało się słyszeć mruczenie, jakby psa łańcuchowego, charkanie i beczenie, i Pankrat w kalesonach w paski, zawiązanych w kostkach, stanął w jasnej plamie. Oczy jego dziwnie utkwione były w postaci uczonego, leciutko jeszcze poziewał ze snu.

— Pankrat — rzekł profesor, patrząc na niego przez okulary: przepraszam, że cię obudziłem. Ot co, mój przyjacielu, do mego gabinetu jutro rano nie wchodź. Pozostawiłem tam robotę, której poruszyć nie można. Zrozumiałeś.

¹⁹lak — topliwa, brązowoczerwona masa, dawniej używana do pieczętowania listów. [przypis edytorski]

— U-u-u, zro-zro-zrozumiałem — odpowiedział Pankrat, nic nie rozumiejąc. Chwiał się i ziewał.

— Nie, słuchaj, ty się obudź, Pankrat — mówił zoolog i leciutko tknął Pankrata w żebro, skutkiem czego na twarzy tegoż odbiło się przerażenie i pewien cień zrozumienia w oczach: Gabinet zamknąłem — ciągnął Piersikow: więc sprzątać go nie trzeba do mojego przyjścia. Zrozumiałeś?

— Słucham — zaskrzypiał Pankrat.

— No więc i pięknie, kładź się spać.

Pankrat zawrócił, znikł w drzwiach i zaraz runął na łóżko, a profesor zaczął ubierać się w westibulu. Włożył szare letnie palto i miękki kapelusz, potem przypomniawszy sobie obraz w mikroskopie, utkwiał wzrok w swoich kaloszach i przez kilka sekund patrzył na nie, jakby je widział po raz pierwszy. Potem włożył lewy i na lewy chciał włożyć prawy, lecz ten nie wlażył.

— Jaki potworny przypadek, że on mnie odwołał — rzekł uczonej: inaczej bym go tak

i nie zauważył. Lecz co to obiecuje?... Wszak to obiecuje diabli wiedzą co takiego!...

Profesor uśmiechnął się, zmrużył oczy na kalosze i lewy zdjął, a prawy włożył: Boże mój! Wszak nawet wyobrazić sobie nie można wszelkich następstw... — Profesor z pogardą pchnął lewy kalosz, który drażnił go, nie chcąc wchodzić na prawy, i poszedł ku wyjściu w jednym kaloszu. Tutaj zgubił chustkę do nosa i wyszedł, trzasnąwszy ciężkimi drzwiami. Na gan-ku szukał długo w kieszeni zapalek, uderzając się po bokach, znalazł i poszedł ulicą z niezapalonym papierosem w ustach.

Ani jednego człowieka nie spotkał uczony aż do samej cerkwi. Tam profesor, zadartszy głowę, wpatrywał się w złoty hełm. Słońce przyjemnie lizało go z jednej strony.

— Jak to, że wcześniej go nie widział, jaki przypadek?... Pfuj, dureń — profesor nachylił się i zamyślił, patrząc na różnie obute nogi: — hm... Co robić? Do Pankrata się wrócić? Nie, jego nie rozbudzisz. Rzucić go, podły,

szkoda. Trzeba będzie nieść w ręku. — Zdjął kalosz i z obrzydzeniem niósł go.

Na starym samochodzie z Preczystienki wyjechało troje. Dwóch pijaniusieńkich i na kolanach ich jaskrawo umalowana kobieta w jedwabnych szarawarach według mody 28. roku.

— Ech, papciu! — zawołała niskim ochryplym głosem: cóżeś ty drugi kalosz przepił!

— Widocznie w Alkazarze wstawił się staruszek — zawył lewy pijaniusieńki, prawy zaś wysunął się z samochodu i zawołał:

— Ojciec, czy nocna na Wołchowce otwarta? My tam!

Profesor surowo popatrzał na nich ponad okularami, wypuścił z ust papierosa i natychmiast zapomniał o ich egzystencji. Na bulwarze Preczystińskim rodziły się słoneczne smugi, a hełm Chrystusa zaczął płonąć. Wzeszło słońce.

ROZDZIAŁ III. PIERSIKOW ZŁAPAŁ

Sprawa cała polegała oto na czym. Kiedy profesor zbliżył genialne oko swoje do okularu mikroskopu, po raz pierwszy w życiu zwrócił uwagę na to, że w różnobarwnym loku szczególnie jaskrawo i grubo wydzielał się jeden promień. Promień ten był jaskrawoczerwonej barwy i z loku wypadł jak malutka osobna, no, powiedzmy, jak igielka, czy co.

Po prostu już takie nieszczęście, że na kilka sekund promień ten pozyskał doświadczone oko wirtuoza.

W nim — w promieniu, profesor dojrzał to, co było o tysiąc razy znaczniejsze i ważniejsze od samego promienia, nietrwałego dziecięcia, zrodzonego wypadkowo przy poruszeniu lusterka i obiektywu mikroskopu. Dzięki temu, że asystent odwołał profesora, ameby przeleżały półtorej godziny pod działaniem tego promienia i oto co się otrzymało: podczas gdy na tarczy poza promieniem ziarniste ame-

by leżały zwiędłe i bezradne, w tym miejscu, gdzie padał czerwony zaostrzony miecz, odbywały się dziwne zjawiska. W czerwonej smudze kipiało życie. Szarutkie ameby, wypuszczając swe macki, ciągnęły się z całej mocy ku czerwonej smudze i w niej (zupełnie jakby w sposób czarodziejski) nabierały życia. Jakaś moc tchnęła w nie ducha życia. Lazły stadem i walczyły jedna z drugą o miejsce w promieniu. Odbywało się w nim szalone, inne słowo dobrać trudno, rozmnożenie. Łamiąc i obalając wszystkie prawa, znane Piersikowowi jak swoje pięć palców, rozmnażały się w jego oczach z błyskawiczną szybkością. Rozkładały się na części w promieniu i każda z części w przeciągu 2 sekund stawała się nowym i świeżym organizmem. Organizmy te w kilka chwil osiągały wnet i dojrzałość li tylko na to, ażeby ze swojej strony natychmiast dać nowe pokolenie. W czerwonej smudze, a potem i na całej tarczy zrobiło się ciasno i wszczęła się nieunikniona walka. Nowonarodzone wściekle rzucały się jedne na drugie i rwały na strzępy i połyka-

ły. Wśród narodzonych leżały trupy tych, które zginęły w walce o egzystencję. Zwyciężały lepsze i silniejsze. I te lepsze były straszne. Po pierwsze objętością przewyższały przypuszczalnie dwukrotnie zwykłe ameby, a po wtóre odznaczały się jakąś specjalną złośliwością i rzeźkością. Ruchy ich były błyskawiczne, macki ich znacznie dłuższe od normalnych i pracowały nimi, bez przesady, jak ośmiornice swymi mackami.

Już drugi wieczór profesor, wymizerowany i pobladły, bez jedzenia, podniecając się tylko grubymi, kręconymi w palcach papierosami, badał nowe pokolenie ameb, a na trzeci dzień przeszedł do praźródła, to jest do czerwonego promienia.

Gaz cichutko syczał w palniku, znów na ulicy panował ruch i profesor, zatruty setnym papierosem, przymknąwszy oczy, oparł się o plecy fotela na śrubie.

— Tak — teraz wszystko wyraźne. Ożywił je promień. To nowy, niezbadany przez nikogo, przez nikogo nie wynaleziony promień.

Pierwsze, co trzeba będzie wyjaśnić, to — czy powstaje on tylko od elektryczności, czy także i od słońca — mruczał Piersikow do samego siebie. I w przeciągu jeszcze jednej nocy wyjaśniło się to. W trzy mikroskopy Piersikow schwytał trzy promienie, od słońca nic nie schwytał i wyraził się tak:

— Należy przypuszczać, że w spektrum²⁰ słońca go nie ma... hm... no, jednym słowem, należy przypuszczać, że wydobyć go można tylko ze światła.

Miłośnie popatrzał na matową kulę w górze, w natchnieniu pomyślał i zaprosił do swego gabinetu Iwanowa. Opowiedział mu wszystko i pokazał ameby.

Prywat-docent²¹ Iwanow był zdumiony, zupełnie przygnieciony: jakżeż taka prosta rzecz, jak ta cieniutka strzała, nie była zauważona wcześniej, niech diabli wezmą! I przez kogokolwiek,

²⁰*spektrum* — widmo, tj. obraz światła rozłożonego na częstotliwości. [przypis edytorski]

²¹*prywat-docent* (z niem.) — tytuł naukowy, dający prawo samodzielnego nauczania. [przypis edytorski]

i chociażby przez niego, Iwanowa, i rzeczywiście to potworne! Wy tylko popatrzcie!...

— Wy popatrzcie, Włodzimierzu Ipatiewiuczu! — mówił Iwanow, w przerażeniu łgnąc okiem do okularu: co się robi?! One rosną w moich oczach... Spójrzcie, spójrzcie...

— Obserwuję je już trzeci dzień — w natchnieniu odrzekł Piersikow.

Potem wynikła między dwoma uczonymi rozmowa, sens której polegał na tym, co następuje: prywat-docent Iwanow podejmuje się sporządzić przy pomocy ścianek i luster kamerę, w której można będzie otrzymać ten promień w postaci powiększonej i poza mikroskopem. Iwanow spodziewa się, a nawet jest zupełnie pewien, że jest to nadzwyczaj proste. Promień otrzyma, Włodzimierz Ipatiewicz może o tym nie wątpić. Tu zaszła mała wątpliwość.

— Ja, Piotrze Stiepanowiczu, kiedy ogłoszę pracę, napiszę, że kamera została zbudowana przez pana — wtrącił Piersikow, czując, że kłopot należy rozstrzygnąć.

— O, to nieważne... Zresztą, ma się rozumieć...

I kłopot zaraz został rozstrzygnięty. Od tego czasu promień pochłoniął i Iwanowa. Podczas gdy Piersikow, chudnąc i wyczerpując się, przesiadywał dnie i połowy nocy przy mikroskopie, Iwanow krzątał się w błyszczącym od lamp gabinecie fizycznym, kombinując ścianki i lustra. Pomagał mu mechanik.

Z Niemiec na zapotrzebowanie komisariatu oświaty przysłali Piersikowowi trzy posyłki, zawierające w sobie lustra podwójnie wypukłe, podwójnie wklęsłe i nawet jakieś wypukło-wklęsłe szkła szlifowane. Skończyło się na tym, że Iwanow sporządził kamerę i w nią rzeczywiście schwytał czerwony promień. I należy oddać sprawiedliwość, schwytał po mistrzowsku: promień wyszedł gruby, z 4 centymetry w średnicy, ostry i silny.

I czerwca kamerę ustawiono w gabinecie Piersikowa i chciwie rozpoczął doświadczenia z ikrą żab, oświetloną przez promień. Doświadczenia dały wstrząsające wyniki. W przeciągu

dwóch dni z ikry wylęgły się tysiące kijanek. Lecz to mało, w przeciągu jednej doby kijanki wyrosły niezwykle na żaby i do tego tak złe i żarłoczne, że połowa z nich zaraz na miejscu pożarta została przez drugą połowę. Za to pozostałe przy życiu poczęły bez żadnych określonych terminów składać ikrę i w 2 dni, już poza wszelkim promieniem, wywiodły nowe pokolenie i przy tym już zupełnie niezliczone. W gabinecie uczonego zaczęło się dziać diabli wiedzą co: kijanki rozpełzły się z gabinetu po całym instytucie, w terrariach i wprost na podłodze, we wszystkich zakątkach, kwakały monotonne chóry, jak na błotach. Pankrat, i tak bojący się Piersikowa jak ognia, teraz uczuwał w stosunku do niego jedno uczucie: śmiertelne przerażenie. Po tygodniu i sam uczoney poczuł, że dostaje szału. Instytut napełnił się zapachem eteru i cjanku kalium²², którym nieomal że nie otruł się Pankrat, który nie w porę zdjął maskę. Rozmnożone pokolenie błot-

²²*cjanku kalium* — cyjankali, cyjanek potasu, czyli sól potasowa kwasu cyjanowodorowego, silna trucizna w formie bezbarwnych kryształków. [przypis edytorski]

ne udało się w końcu wymordować truciznami, gabinety przewietrzyć.

Do Iwanowa Piersikow rzekł tak:

— Wie pan, Piotrze Stiepanowiczu, że działania promienia na deuteroplazmę²³ i w ogóle na komórki jajek są zdumiewające.

Iwanow, zimny i powściągliwy gentelman, przerwał profesorowi niezwykłym tonem:

— Włodzimierzu Ipatiewiczu, co pan tam opowiada o drobnych detalach, o deiterplazmie. Będziemy mówić wprost: pan wynalazł coś niesłychanego — widocznie z wielkim natężeniem, lecz mimo to Iwanow wydławił z siebie słowa: profesorze Piersikow, pan wynalazł promień życia!

Błady rumieniec ukazał się na białych, nieogolonych policzkach Piersikowa.

— No-no-no — zamruczał.

— Pan — ciągnął Iwanow: pan zdobędzie takie imię... Mnie aż kręci się w głowie — ciągnął dalej namiętnie: Włodzimierzu Ipatjiczu,

²³*deuteroplazma* a. *deutoplazma* — substancja zapasowa, np. żółtko w komórce jajowej. [przypis edytorski]

bohaterowie Wellsa²⁴ w porównaniu z panem po prostu głupstwo... A Ja myślałem, że to bajki... Pan pamięta jego *Pokarm bogów*²⁵ ?

— A to romans²⁶ — odpowiedział Piersikow.

— No tak, Boże, znany przecież!...

— Zapomniałem go — odrzekł Piersikow: pamiętam, czytałem, lecz zapomniałem.

— Jakżeż pan nie pamięta, niechżeż pan spojrzy — Iwanow podniósł za nóżkę z szklanego stołu nieprawdopodobnych rozmiarów żabę z rozpuchłym brzuchem. Na pysku jej nawet po śmierci widoczny był złośliwy wyraz: przecież to potworne!...

²⁴Wells, Herbert George (1866–1946) — angielski pisarz, autor powieści i opowiadań fantastycznonaukowych. [przypis edytorski]

²⁵*Pokarm bogów* — powieść H.G. Wellsa z 1904 roku; jej bohaterowie odkrywają substancję pokarmową działającą podobnie co czerwony promień z *Fatalnych jaj*. [przypis edytorski]

²⁶*romans* (daw.) — powieść. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ IV. POPADIA DROZ- DOWA

Bóg wie dlaczego, czy Iwanow był tu winien, czy też dlatego, że wiadomości sensacyjne rozchodzą się powietrzem same przez się, lecz tylko w olbrzymiej kipiącej Moskwie poczęto naraz mówić o promieniu i o profesorze Piersikowie. Prawda, jakoś pobieżnie i bardzo mgliście. Wiadomość o cudotwórczym wynalazku skakała, jak ptak postrzelony w błyszczącej stolicy, to niknąc, to znów pojawiając się do połowy lipca, kiedy na 20 stronicy gazety „Izwestia”, pod nagłówkiem „Nowości nauki i techniki” pojawiła się krótka notatka, traktująca o promieniu. Powiedziane było głucho, że znany profesor IV uniwersytetu wynalazł promień, nieprawdopodobnie podwyższający życiową działalność niższych organizmów i że promień ten wymaga sprawdzenia. Nazwisko, ma się rozumieć, było zełgane i wydrukowane: „Piewsikow”.

Iwanow przyniósł gazetę i pokazał Piersikowowi notatkę. — „Piewsikow” — zauważył Piersikow, krzątając się przy kamerze w gabinecie: skąd ci świstacy wszystko wiedzą?

Ale zełgane nazwisko nie uratowało profesora od wypadków i zaczęły się one zaraz następnego dnia, od razu naruszając całe życie Piersikowa.

Pankrat, uprzednio zastukawszy, zjawił się w gabinecie i wręczył Piersikowowi wspaniałą atlasowy bilet wizytowy.

— On jest tamój — nieśmiało dodał Pankrat.

Na bilecie było wydrukowane wytwornym drukiem:

ALFRED ARKADJEWICZ
BRONSKIJ

Współpracownik pism moskiewskich — „Czerwony Ognik”, „Czerwony Pieprz”, „Czerwony Tygodnik”, „Czerwony Prożektor” i gazety „Czerwona Moskwa Wieczorna”.

— Przepędź go do diablej matki — monotonnie rzekł Piersikow i zrzucił bilet pod stół.

Pankrat zawrócił, wyszedł i po pięciu minutach wrócił z męczeńską miną i z drugim egzemplarzem tegoż samego biletu.

— Ty cóż to, drwiesz sobie? — zaskrzypał Piersikow i stał się strasznym.

— Z gepeju oni mówią... — blednąc, odpowiedział Pankrat.

Piersikow jedną ręką schwytał za bilet, omal go nie przedarł na połowę, a drugą rzucił pincetę na stół. Na bilecie dopisane było okrągłym pismem:

„Proszę bardzo i przepraszam, przyjąć mnie, wielce szanowny profesorze, na trzy minuty w sprawach społecznych prasy i współpracownik satyrycznego pisma „Czerwony Kruk”, wydawnictwo GPU”.

— Zawołaj go tutaj — rzekł Piersikow i zatchnął się.

Spoza pleców Pankrata natychmiast wynurzył się młody człowiek z gładko wygoloną lśniącą twarzą. Zdumiewały wiecznie podnie-

sione, zupełnie jak u Chińczyka, brwi i pod nimi ani na sekundę nie patrzące w oczy rozmówcy agatowe oczy. Młody człowiek był ubrany zupełnie bez zarzutu i modnie. W wąską i długą aż do kolan marynarkę, możebnie najszersze spodnie jak dzwon i nienaturalnej szerokości lakierowane trzewiki z nosami, podobnymi do kopyt. W rękach młody człowiek trzymał trzcinę, kapelusz szpiczasty i block-notes.

— Co panu potrzeba? — spytał Piersikow takim głosem, że Pankrat momentalnie uciekł za drzwi — wszak panu powiedziano, że jestem zajęty.

Zamiast odpowiedzi młody człowiek pokłonił się profesorowi dwa razy na lewy bok i na prawy, a potem oczki jego kóleczką przebiegły po całym gabinecie i natychmiast młody człowiek zrobił w block-notesie znak.

— Jestem zajęty — rzekł profesor, ze wstrętem patrząc na oczki gościa, lecz żadnego efektu nie osiągnął, gdyż oczki te były nieuchwytnie.

— Proszę tysiącrotnie o przebaczenie, głęboko szanowny profesorze — przemówił młody człowiek cienkim głosem — że wtargnąłem do pana i zabieram drogocenny czas pański, lecz wiadomość o pańskim światowym wynalazku, rozbrzmiewająca po całym świecie, zmusza nasz dziennik prosić pana o jakiegokolwiek wyjaśnienia.

— Jakie tam znów wyjaśnienia po całym świecie — zajęczał Piersikow piskliwie i poźółkł: nie jestem obowiązany dawać panu wyjaśnień i nic takiego... Jestem zajęty... strasznie zajęty.

— Nad czym pan pracuje? — słodko spytał młody człowiek i postawił drugi znak w block-notesie...

— Lecz ja... pan co?... Chce pan wydrukować coś?

— Tak — odpowiedział młody człowiek i naraz zaczął szybko pisać w block-notesie.

— Po pierwsze, nie mam zamiaru nic opublikować, dopóki nie skończę pracy... tym bardziej w tych waszych gazetach... Po drugie, skąd

pan to wszystko wie?... — I Piersikow naraz poczuł, że traci grunt pod nogami.

— Czy prawdziwą jest wiadomość, że pan wynalazł promień nowego życia?

— Jakiego tam nowego życia? — rozwścieczył się profesor: czego pan głupstwa plecie! Promień, nad którym pracuję, jeszcze daleko nie jest zbadany i w ogóle nic jeszcze nie wiadomo! Możliwe, że podwyższa życiową działalność protoplazmy²⁷...

— O ile razy? — spytał spieszenie młody człowiek.

Piersikow ostatecznie stracił grunt pod nogami... „No, typek. Przecież to diabli wiedzą co takiego!”

— Co za obywatelskie²⁸ zapytania? Przypuśćmy, że powiem, no, w tysiąc razy!...

W oczkach młodego człowieka błysnęła drapieżna radość.

— Otrzymują się gigantyczne organizmy?

²⁷*protoplazma* — materia żywa, z której zbudowane są komórki. [przypis edytorski]

²⁸*obywatelski* — tu: prostacki, niefachowy. [przypis edytorski]

— Ależ nic podobnego! No, prawda, organizmy, otrzymane przeze mnie, większe są od zwykłych... No, posiadają niektóre nowe właściwości... Lecz przecież tu główną²⁹ jest nie wielkość, a nieprawdopodobna szybkość rozmnażania — rzekł na swoje nieszczęście Piersikow i natychmiast przeraził się. Młody człowiek zapisał całą stronicę, odwrócił ją i zaczął smarować dalej.

— Niech pan nie pisze! — poddając się i czując, że znajduje się w rękach młodego człowieka, w rozpaczę zasyczał Piersikow: co pan takiego pisze?...

— Czy to prawda, że w przeciągu dwóch dób z ikry można otrzymać 2 miliony kijanek?

— Z jakiej ilości ikry? — znów rozwścieklony zawołał Piersikow: czy pan widział kiedykolwiek ziarnko ikry... no, powiedzmy, ropuchy?

— Z pół funta? — niezmiészany zupełnie spytał młody człowiek.

Piersikow zaczerwienił się.

²⁹główny — tu: najważniejszy. [przypis edytorski]

— Któż tak mierzy? Pfuj!... Co pan takiego mówi? No, rozumie się, jeżeli wziąć pół funta żabiej ikry... wtedy, przypuśćmy... czort, no, około tej ilości, a, być może, i znacznie więcej!...

Brylanty zapłonęły w oczach młodego człowieka i za jednym zamachem zasmarował jeszcze jedną stronicę.

— Czy to prawda, że wywoła to przewrót światowy w hodowli zwierząt?

— Co to za gazeciarskie zapytanie — zawył Piersikow: i w ogóle nie daję panu pozwolenia na pisanie głupstw. Widzę z pańskiej twarzy, że pisze pan jakąś obrzydliwość!...

— Pańską fotografię, profesorze, najuprzejmiej proszę — mówił młody człowiek i zatrzasnął block-notes.

— Co? Moją fotografię? To do waszych piemek? Razem z tą diabelszczyzną, którą pan tam pisze. Nie, nie, nie... I ja jestem zajęty... poproszę pana!...

— Chociażby starą. Zwrócimy ją panu momentalnie.

— Pankrat! — zawołał profesor w szale.

— Mam zaszczyt kłaniać się — rzekł młody człowiek i zniknął.

Zamiast Pankrata dał się słyszeć za drzwiami miarowy skrzyp maszyny, jednostajny stuk w podłogę i w gabinecie zjawił się niezwyklej grubości człowiek, ubrany w bluzę i spodnie, uszyte z sukna kołdrowego. Lewa, mechaniczna noga jego szczękała i grzmiała, a w ręku trzymał teczkę. Wygoloną, okrągłą twarz jego, nalaną żółtawą galaretą, rozjaśniał uprzejmie uśmiech. Ukłonił się profesorowi po wojskowemu i wyprostował, skutkiem czego noga jego zaszczękała sprężynami. Piersikow oniebiał.

— Panie profesorze — zaczął nieznajomy przyjemnym ochryplym głosem: niech pan daruje prostemu śmiertelnikowi, który naruszył pańską samotność.

— Pan reporter? — spytał Piersikow: — Pankrat!!

— Zupełnie nie, panie profesorze — odpowiedział grubas — pan pozwoli się przedsta-

wić — kapitan dalekiej żeglugi i współpracownik gazety „Goniec Przemysłowy” przy radzie komisarzy ludowych.

— Pankrat!! — histerycznie zawołał Piersikow i jednocześnie w kącie wysunął się czerwony sygnał i łagodnie zadzwonił telefon: Pankrat! — powtórzył profesor: słucham.

— *Verzeigen Sie bitte, Herr Professor* — zakrzypiał telefon po niemiecku: *das ich schere. Ich bin mitarbeiter des „Berliner Tageblatts”*³⁰...

— Pankrat! — zawołał w słuchawkę profesor: *bin momentan sehr beschäftigt und kann sie deshalb jetzt nicht empfangen!*³¹... Pankrat!!...

A przy głównym wejściu do instytutu w tej chwili rozpoczęły się dzwonki.

*

— Koszmarne zabójstwo na ulicy Bronnej!! — wyły nienaturalne ochryple głosy, krę-

³⁰*Verzeigen Sie bitte, Herr Professor...* (niem.) — Proszę mi wybaczyć, panie profesorze. To dla mnie ważne. Jestem pracownikiem „Dziennika Berlińskiego”. [przypis edytorski]

³¹*bin momentan sehr beschäftigt und kann sie deshalb jetzt nicht empfangen!* (niem.) — w tym momencie jestem bardzo zajęty i nie mogę teraz odebrać. [przypis edytorski]

ciągając się w gęstwinie ognia między kołami i wybuchami latarni na rozpalonym czerwcowym bruku: koszmarne zjawienie się choroby kur u wdowy popadii Drozdowej z jej portretem! Koszmarne wynalazek promienia życia profesora Piersikowa!!

Piersikow szarpnął się tak, że omal nie wpadł pod samochód na Mochowej i wściekle schwytał gazetę.

— 3 kopiejki, obywatelu! — zawołał chłopiec i wciskając się w tłum na trotuarze³² znów zawył: „Czerwona Gazeta Wieczorna”, wynalazek iks-promieni!

Oszołomiony Piersikow rozwinął gazetę i przytulił się do słupa latarni. Na drugiej stronie w lewym rogu w grubej ramce spojrział na niego łysy, z szalonymi i niewidzącymi oczyma, z obwisłą dolną wargą, człowiek, owoc artystycznej twórczości Alfreda Brońskiego. „W. I. Piersikow, który wynalazł zagadkowy czerwony promień”, głosił podpis pod rysunkiem.

³²trotuar (z fr.) — chodnik. [przypis edytorski]

Nizej, pod nagłówkiem „światowa zagadka”, zaczynał się artykuł słowami:

„Niech pan siada — uprzejmie rzekł nam poważny uczony Piersikow...”

Pod artykułem widniał podpis „Alfred Bronskij (Alonso)”. Zielonkawe światło wzniosło się nad dachy uniwersytetu, na niebie wyskoczyły ogniste słowa „Mówiąca gazeta” i natychmiast tłum zapełnił Mochową ulicę.

„Niech pan siada!! — zawył naraz przez tubę na dachu nieprzyjemny cienki głos, zupełnie podobny do spotęgowanego o tysiąc razy głosu Alfreda Brońskiego — uprzejmie rzekł nam poważny uczony Piersikow! Dawno już chciałem poznać moskiewski proletariat z wynikami mego wynalazku...”

Cichy, mechaniczny skrzyp dał się słyszeć za plecami Piersikowa i ktoś pociągnął go za rękaw. Obejrzawszy się, zobaczył żółtą okrągłą twarz właściciela nogi mechanicznej. Oczy jego zwilżone były łzami i usta drgały.

— Mnie, panie profesorze, pan nie chciał poznać z wynikami swego zdumiewające-

go wynalazku — rzekł smutnie i głęboko westchnął: Przepadły moje półtora czerwońca³³.

Tęsknie patrzył na dach uniwersytetu, gdzie w czarnej paszczy szalał niewidzialny Alfred. Piersikowowi dlaczegoś zrobiło się żal grubasa.

— Ja — wybąknął, z nienawiścią chwytając słowa z nieba — żadnego „niech pan siada” mu nie mówiłem! To po prostu zuchwalec niezwykłego rodzaju! Pan mi daruje, proszę bardzo — lecz, doprawdy, kiedy pracujesz i wpadają... Nie o panu, ma się rozumieć, mówię...

— Być może, pan mi, panie profesorze, da choć opis swej kamery? — przypocholebnie i żałośnie mówił człowiek mechaniczny: wszak panu teraz wszystko jedno...

— Z pół funta ikry w przeciągu 3 dni wykluwa się taka ilość kijanek, że ich nie ma możliwości nawet policzyć — ryczał niewidzialny przez tubę.

— Tu — tu — głucho krzyczały samochody na Mochowej.

³³czerwoniec — tu: radziecki banknot dziesięciorublowy. [przypis edytorski]

— Ho-ho — ho... Patrz — no, ho-ho — ho — szumiał tłum, zadzierając głowy.

— Jaki łotr? Co? — drżąc z oburzenia syczał Piersikow do mechanicznego człowieka: jak się to panu podoba? Toż ja na niego skarżyć się będę!

— Oburzające! — zgodził się grubas.

Oślepiający promień fiołkowy uderzył w oczy profesora i wszystko wkoło zapłonęło: słup latarni, kawałek bruku ulicy, żółta ściana, ciekawe twarze.

— To pana, panie profesorze — z zachwytem szepnął grubas i zawisnął na rękawie profesora, jak ciężar. W powietrzu coś zatrzeszczało.

— A no ich wszystkich do diabła! — z oburzeniem zawołał Piersikow, przedzierając się z ciężarem przez tłum: Hej, taksówka. Na Preczystienkę!

Obdrapana, stara maszyna, konstrukcji 24. roku zawarczała przy trotuarze i profesor wsiadł do landa³⁴, usiłując odczepić się od grubasa.

— Pan mi przeszkadza — syczał i zakrywał się pięściami przed fioletowym światłem.

— Czytaliście?! Co tam wrzeszczą?... Profesora Piersikowa z dziećmi zarżnęli na Małej Bronnej!... — krzyczeli wokoło w tłumie.

— Żadnych ja dzieci nie mam, sucze syny — zawrzeszczał Piersikow i naraz wpadł pod obiektyw czarnego aparatu, który schwytał go profilem z otwartymi ustami i wściekłymi oczyma.

— Koh... tu... koh... tu — zawarczał taksonometr i werżnął się w tłum.

Grubas siedział już w landzie i grzał bok profesorowi.

ROZDZIAŁ V. KURZA HISTORIA

W powiatowym, zapadłym miasteczku, byłym Troicku, a obecnie Stieklowski, Kostromskiej

³⁴*lando* — rodzaj nadwozia samochodu z odsuwaną tylną częścią dachu. [przypis edytorski]

guberni, Stachłowskiego powiatu, na ganeczek domku na byłej Sobornej, a obecnie Personalnej ulicy, wyszła przewiązana chusteczką kobieta w szarej sukni z perkalowymi³⁵ bukietami i rozplakała się. Kobieta ta, wdowa po byłym sobornym protojereju³⁶ byłego soboru, Drozdowa, płakała tak głośno, że wkrótce, z domku położonego przez ulicę, przez okienko wysunęła się babska głowa w puchowej chustce i zawołała:

— Cóż ty, Stiepanowna, alboż jeszcze?...

— Siedemnasta! — rozplywając się w łkaniach, odpowiedziała była Drozdowa.

— Achti-ch-ti-ch — zaskowyczała i pokiwiała głową baba w chustce: przecież, cóż to takiego? — Rozgniewał się Bóg, szczere słowo! Czyżbyż jednak zdechła?...

— A ty spójrz, spójrz, Matrena — mruzczała popadia, sapiąc głośno i ciężko: ty spójrz, co z nią się dzieje!

³⁵perkalowy — wykonany z cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

³⁶protojerej — proboszcz w kościele prawosławnym. [przypis edytorski]

Trzasnęła szara pochyłająca się furteczka, babskie bosc nogi zaczęły po pełnych pyłu garbach ulicy, i mokra od łez popadła poprowadziła Matrenę do swego kurnika.

Należy powiedzieć, że wdowa ojca protojereja Sawwatja Drozdowa, zmarłego w 26 roku skutkiem zmartwień antyreligijnych, nie opuściła rąk, a urządziła godną uwagi hodowlę kur. Zaledwie tylko wdowie interesy poszły w górę, nałożono na wdowę taki podatek, że hodowla kur omal nie została przerwana, gdyby nie dobrzy ludzie. Nauczyli wdowę, ażeby złożyła władzom miejscowym deklarację o tym, że ona, wdowa, zakłada robotniczą kooperatywę³⁷ hodowli kur. W skład kooperatywy weszła sama Drozdowa, wierna służka jej Matreszka i głucha siostrzenica wdowy. Podatki nałożone na wdowę skasowano i hodowla kur rozkwitała o tyle, że w 2. roku u wdowy, na pełnym pyłu podwórku, otoczonym kurnikami, chodziło do 250 kur, w liczbie których były na-

³⁷kooperatywa — spółdzielnia. [przypis edytorski]

wet kochinchinki³⁸. Wdowie jajka co niedziela ukazywały się na rynku w Stieklowie, wdowimi jajkami handlowali w Tambowie, a zdawało się, że ukazywały się one i w szklanych witrynach magazynu byłego „ser i masło Czyczkina w Moskwie”.

I oto siedemnasta według liczby od rana bramaputra³⁹, ulubiona czubatka, chodziła po podwórzu i wymiotowała. „Er... urł... urł... kokino-ko” — wyprawiała czubatka i zataczała smutne oczy na słońce tak, jakby widziała je po raz ostatni. Przed dziobem kwoki w kucki wytańcowywał członek kooperatywy Matreszka z miseczką wody.

— Czubatka, mileńka... cyp-cyp-cyp... napij się wody — błagała Matreszka i gonila dziób czubatkę z miseczką, lecz czubatka pić nie chciała. Szeroko otwierała dziób, zadzierała głowę do góry... Potem zaczęła wymiotować krwią.

— Panie Jezusie! — zawołał gość, klapnawszy się po biodrach: cóż to takiego się robi?

³⁸*kochinchin* — pochodząca z Chin rasa kur. [przypis edytorski]

³⁹*bramaputra* — pochodząca z Azji rasa kur. [przypis edytorski]

Sama czysta krew. Nigdy nie widziałam, żebym z miejsca nie zeszła, żeby kura, jak człowiek, cierpiała na żołądek.

Były to ostatnie pożegnalne słowa dla biednej czubatki. Naraz⁴⁰ przewróciła się na bok, bezradnie poruszyła pył dziobem i zamknęła oczy. Odwróciła się potem na plecy, obydwie nogi zadarła do góry i została nieruchomą. Basem zapłakała Matreszka, wylewając wodę z miseczki, i sama popadia — przewodniczący kooperatywy, a gość nachylił się do jej ucha i zaczął szeptać:

— Stiepanowna, ziemię jeść będę, że kury twoje popsuli. Gdzież to widziane! Wszak takich kurzych chorób i nie ma! Twoje kury ktoś zaczarował!

— Wrogowie życia mego! — zawołała popadia do nieba: cóż oni mnie ze świata chcą zgładzić?

Na słowa jej odpowiedziało głośne pianie koguta i potem z kurnika wyrwał się jakoś bokiem, zupełnie jak awanturniczy pijak z piwiar-

⁴⁰naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

ni, obskubany chudy kogut. Zwierzęco wytrzeszczył na nie oczy, podreptał na miejscu, rozpostarł skrzydła, jak orzeł, lecz nigdzie nie odleciał, a począł biegać po podwórzu, w koło, jak koń na lince. Przy trzecim kole zatrzymał się i zemdliło go, potem zaczął charkać i chrypieć, napluł wokoło siebie krwawe plamy, przewrócił się i łapy jego wyciągnęły się ku słońcu jak maszty. Wycie kobiet rozbrzmiało na podwórzu. I w kurnikach odpowiedziało mu niespokojne gdakanie; klapanie i zamęt.

— No, nie zepsuty? — zwycięsko spytał gość — wołaj ojca Sergieja, niech odprawia.

O godz. szóstej wieczorem, kiedy słońce siedziało ognistą twarzą między twarzami młodych słoneczników, na podwórzu hodowli kur ojciec Siergieja, proboszcz cerkwi sobornej, ukończywszy nabożeństwo, wyłaził z epitrachili. Ciekawe głowy ludzi sterczały nad starym parkanem i w jego szczelinach. Żałośliwa popadia, ucałowawszy krzyż, gęsto zmoczyła kanarkowy porwany rubel łzami i wręczyła go ojcu Siergiejowi, na co ten, wzdychając, zauważył, że to

z powodu tego, że oto, widać, Bóg rozgniewał się na nas.

Potem tłum z ulicy rozszedł się, że zaś kury wcześniej kładą się spać, to nikt i nie wiedział, że u sąsiada popadii Drozdowej w kurniku zdechły od razu trzy kury i kogut. Wymiotowały tak samo, jak i drozdowskie kury, lecz tylko śmierć zaszła w zamkniętym kurniku i cicho. Kogut zwalił się z grzędy na dół głową i w takiej pozycji skończył. Co zaś dotyczy kur wdowy, to do wieczora w kurnikach było martwo i cicho, leżały stosami zeszywniałe ptaki.

Rano miasto wstało, jak gromem rażone, dlatego że historia przybrała rozmiary dziwne i potworne. Na Personalnej ul., do południa, pozostały przy życiu tylko trzy kury, w ostatnim z brzoza domku, gdzie zajmował mieszkanie powiatowy fininspektor⁴¹, lecz i te zdechły do godziny pierwszej w południe. A pod wieczór w miasteczku Stieklowskie huczało i kipiało, jak w ulu, i toczyło się przez nie groźne słowo „mór”. Nazwisko Drozdowej dosta-

⁴¹*fninspektor* — (ros. skrót) inspektor finansowy. [przypis edytorski]

ło się do miejscowej gazety „Czerwony Bojownik” w artykule pod tytułem: „Czyżbyż kurza dzuma?”, a stamtąd przedostało się do Moskwy.

*

Życie profesora Piersikowa przybrało zabarwienie dziwne, niespokojne i niepokojące. Jednym słowem, pracować w takich warunkach było wprost niemożliwe. Na drugi dzień po tym, gdy się pozbył Alfreda Brońskiego, zmuszony był wyłączyć u siebie w gabinecie w instytucie telefon, zdejmując słuchawkę, a wieczorem, przejeżdżając tramwajem, przez Ochotnyj Riad, zobaczył profesor samego siebie na dachu olbrzymiego domu z czarnym napisem „Gazeta Robotnicza”. On, profesor, kurcząc się i zieleniejąc i migając, włąził do landa taksówki, a za nim, czepiając się rękawa, włąziła kula mechaniczna w kołdrze. Profesor na dachu, na białym ekranie, zakrywał się pięściami przed fioletowym promieniem. Potem wyskoczył ognisty napis: „Profesor Piersikow, jadący autem,

udziela objaśnień naszemu znakomitemu reporterowi kapitanowi Stiepanowowi”. I rzeczywiście: obok cerkwi Chrystusa, przez Wołchonkę, przemknął trzęsący się samochód i w nim mocował się profesor, i fizjognomia⁴² jego była jak u osaczonego przez obławę wilka.

— To jacyś diabli, a nie ludzie — przez zęby zamruczał zoolog i przejechał.

Tegoż dnia wieczorem, powróciwszy do siebie na Preczystienkę, zoolog otrzymał od gospodyni, Marii Stiepanowny, 17 notatek z numerami telefonów, które dzwoniły do niego w czasie jego nieobecności, i słowne zapewnienie Marii Stiepanowny, że się zamęczyła. Profesor chciał podrzeć notatki, lecz zatrzymał się, gdyż przy jednym z numerów zauważył przypisek: „Komisarz ludowy ochrony zdrowia”.

O godz. 10 i 1/4 tegoż wieczoru rozległ się dzwonek i profesor zmuszony był rozmawiać z pewnym w olśniewającym ubraniu obywatelem. Przyjął go profesor dzięki biletowi wizytowemu, na którym było zamieszczone (bez

⁴²fizjognomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

imienia i nazwiska): „Pełnomocny szef oddziałów handlowych przedstawicielstw zagranicznych przy Republice Sowietów”.

— Diabli by go wzięli — zaryczał Piersikow, rzucił na zielone sukno lupę i jakieś diagramy i rzekł do Marii Stiepanowny:

— Poproście go tutaj, do gabinetu, tego samego pełnomocnika. — Czym mogę służyć? — spytał Piersikow takim tonem, że szefa trochę dreszcz przejął. Piersikow przesunął okulary z nosa na czoło, potem z powrotem i przyjrzał się gościowi. Ten cały świecił się od lakieru i klejnotów i w prawym oku jego siedział monokl⁴³. „Jaka wstrętna roża”, dlaczegoś pomyślał Piersikow.

Zaczął gość z daleka, gdyż przede wszystkim poprosił o pozwolenie zapalenia cygara, wskutek czego Piersikow z wielką niechęcią poprosił go, ażeby usiadł. Dalej gość wygłosił długie przeprosiny z tego powodu, że przyszedł późno: „lecz... pana profesora nie można w dzień

⁴³*monokl* — soczewka korekcyjna na jedno oko. [przypis edytorski]

w żaden sposób złap... hi-hi... pardon... zastać” (gość, śmiejąc się, łkał jak hiena).

— Tak, jestem zajęty! — tak krótko odpowiedział Piersikow, że dreszcz po raz wtóry wstrząsnął gościem.

— Mimo to jednak pozwoliłem sobie niepokoić znakomitego uczonego: czas — to pieniądz, jak się mówi... cygaro nie przeszkadza profesorowi?...

— Mur — mur — mur — odpowiedział Piersikow. Pozwolił.

— Profesor — wszak wynalazł promień życia?...

— Zlituj się pan, jakiego tam życia?! To wymysły gazeciarzy? — ożywił się Piersikow.

— Ah, nie, hi-hi-he... on znakomicie rozumie tę skromność, która stanowi prawdziwą ozdobę wszystkich prawdziwych uczonych... o czymżeż mówić... Dziś są depesze... W miastach światowych, jak to: Warszawie i Rydze już wszystko wiadomo odnośnie promienia. Nazwisko prof. Piersikowa powtarza świat cały... Cały świat śledzi pracę prof. Piersikowa z zapartym odde-

chem... Lecz wszystkim znakomicie wiadomo, jak ciężką jest sytuacja uczonych w Rosji sowieckiej. *Entre nous soit dit*⁴⁴... Nie ma tu niktogo obcego?... Och, tu nie umieją ocenić pracy naukowej, tak więc on chciałby porozmawiać z profesorem... Pewne zagraniczne mocarstwo proponuje profesorowi Piersikowowi zupełnie bezinteresowną pomoc w jego pracach laboratoryjnych. Po co tu rzucać perły, jak się mówi w Piśmie Świętym. Mocarstwu wiadomo, jak ciężko było profesorowi w 19. i 20. roku podczas tej hi-hi... rewolucji. No, rozumie się, surowa tajemnica... profesor obznajomi mocarstwo z wynikami pracy, a ono za to sfinansuje profesora. Wszak zbudował kamerę, oto ciekawe by było poznać się z planami tej kamery...

I tu gość wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę białośnieżnych banknotów...

— Jakieś tam głupstwo, 5. 000 rb. na przykład, zadatku profesor może otrzymać w tej chwili.... i pokwitowania nie potrzeba... profe-

⁴⁴*Entre nous soit dit* (fr.) — mówiąc między nami. [przypis edytorski]

sor nawet obrazi pełnomocnika szefa handlowego, jeżeli zacznie mówić o pokwitowaniu.

— Precz!!! — wrzasnął naraz Piersikow tak strasznie, że pianino w salonie wydało dźwięk w klawiszach wiolinowych.

Gość zniknął tak, że drżący z wściekłości Piersikow po minucie i sam już wątpił, czy był tu on, czy też jest to halucynacja.

— Jego kalosze?! — wył po chwili Piersikow w przedpokoju.

— Oni zapomnieli — odpowiedziała drżąca Maria Stiepanowna.

— Wyrzucić je precz!...

— Gdzie ja je wyrzucę. Oni przyjdą po nie.

— Oddać je do komitetu domowego. Za pokwitowaniem. Żeby nie było nawet i ducha tych kaloszy! Do komitetu! Niech przyjmą szpiegowskie kalosze.

Maria Stiepanowna, zegnając się, zabrała wspaniałe skórzane kalosze i wyniosła je na schody kuchenne. Tam postawiła za drzwiami, a potem schowała kalosze do spizarki.

— Oddaliście? — szalał Piersikow.

— Oddałam.

— Pokwitowanie mnie.

— Tak, Włodzimierz Ipatiewiczu. Tylko że przewodniczący pisać nie umie!...

— W tej. Sekundzie. Ażeby. Było. Pokwitowanie. Niech za niego jakikolwiek piśmien-ny sukinsyn się podpisze.

Maria Stiepanowna tylko pokręciła głową, wyszła i po kwandransie wróciła z pokwitowa-niem:

„Otrzymano w darze od prof. Piersikowa i (jedną) paczkę. Kolesow”.

— A to co?

— Żeton.

Piersikow żeton podeptał nogami, a po-kwitowanie schował pod przycisk. Potem myśl jakaś ogarnęła jego spadziste czoło. Podbiegł do telefonu, wydzwonił Pankrata w instytu-cie i spytał go: „czy wszystko pomyślnie w in-stytucie?” Pankrat zaryczał coś takiego przez słuchawkę, z czego można było zrozumieć, że, zdaniem jego, wszystko pomyślnie. Lecz Pier-sikow uspokoił się tylko na jedną chwilę. Na-

chmurzony, przyczepił się do telefonu i zaczął mówić do słuchawki co następuje:

— Dajcie mi tą, jak tam, Łubiankę⁴⁵. Merci⁴⁶... Komu tam z was należy powiedzieć... do mnie tu jacyś podejrzani osobnicy w kaloszach chodzą, tak... Profesor IV uniwersytetu Piersikow...

Słuchawka naraz ostro przerwała rozmowę. Piersikow odszedł, mrucząc przez zęby jakieś wymysły.

— Będzie pan pić herbatę, Włodzimierzu Ipatiewiczu? — nieśmiało spytała się Maria Stepanowna, zaglądając do gabinetu.

— Nie będę pić żadnej herbaty... mur-mur-mur, i niech diabli ich wezmą... jakby się wściekli, wszystko jedno.

Punktualnie po dziesięciu minutach profesor przyjmował w swoim gabinecie nowych gości. Jeden z nich przyjemny, okrągły i bardzo grzeczny, był w skromnym, wojskowym kha-

⁴⁵*Łubianka* (pot.) — siedziba radzieckiej, a potem rosyjskiej służby bezpieczeństwa. [przypis edytorski]

⁴⁶*merci* (fr.) — dziękuję. [przypis edytorski]

ki⁴⁷ frenchu i rajtuzach. Na nosie jego siedziały, jak kryształowy motylek, binokle⁴⁸. W ogóle przypominał aniołka w butach lakierowanych. Drugi, niziutki, strasznie ponury, był po cywilnemu, lecz ubranie cywilne siedziało na nim tak zupełnie, jakby go krępowało. Trzeci gość zachowywał się szczególnie, nie wszedł do gabinetu profesora, a pozostał w na wpół ciemnym przedpokoju. Przy tym oświetlony i zaciągnięty strumieniami dymu tytoniowego gabinet był mu na wskroś widoczny. Na twarzy tego trzeciego, który był również po cywilnemu, widniały ciemne binokle.

Dwaj w gabinecie w zupełności zamęczyli profesora Piersikowa, przyglądając się biletowi wizytowemu, rozpytując o pięć tysięcy i zmuszając do opisywania powierzchowności gościa.

— Diabli go wiedzą — bębnił Piersikow; no, wstrętne fizjognotnia. Degenerat.

⁴⁷*khaki* — kolor szaro-brązowo-zielony, stosowany jako maskujący w ubraniach wojskowych. [przypis edytorski]

⁴⁸*binokle* — rodzaj okularów bez uchwytów, mocowanych na nosie z pomocą sprężynki. [przypis edytorski]

— A czy nie miał szklanego oka? — spytał malutki ochrypłym głosem.

— A diabeł go wie. Nie, zresztą, nie szklane, biegające oczy.

— Rubinsztein? — pytająco i cicho zwrócił się anioł do cywilnego malutkiego. Lecz ten pochmurnie i przecząco pokręcił głową.

— Rubinsztein nie da bez kwitu, w żadnym razie — zamruczał ten: to nie rubinszteinowska robota. Tu ktoś znaczniejszy.

Historia o kaloszach wywołała wybuch najżywszego zainteresowania ze strony gości. Anioł powiedział przez telefon do kantoru zarządu domowego tylko kilka słów: „Państwowy urząd polityczny wzywa w tej chwili sekretarza domkomu Kolesowa do mieszkania profesora Piersikowa z kaloszami”, i Kolesow natychmiast, blady, zjawił się w gabinecie, trzymając w ręku kalosze.

— Wasieńka! — nie głośno zawołał anioł na tego, który siedział w przedpokoju. Ten powoli wstał i zupełnie jakby rozkręcony powlókł

się do gabinetu. Ciemne szkła zupełnie pochłonięły jego oczy.

— No? — spytał lakonicznie i sennie.

— Kalosze.

Ciemne oczy prześlizgnęły się po kaloszach i przy tym Piersikowowi wydało się, że spod szkieł, na jedno mgnienie, błysnęły wcale nie senne, a przeciwnie, zdumiewająco kłujące oczy. Lecz momentalnie zgasły.

— No, Wasieńka?

Ten, którego nazywali Wasieńką, odpowiedział powolnym głosem:

— No, cóż tu no. Kalosze Pielenżkowskiego.

Natychmiast skarbiec domowy został pozbawiony podarunku profesora Piersikowa. Kalosze znikły w papierze gazetowym. Nadzwyczaj uradowany anioł we frenchu wstał i zaczął ścisnąć rękę profesorowi, i nawet wygłosił małą mówkę, treść której stanowiło zasadniczo co następuje: przynosi to zaszczyt profesorowi... Profesor może być spokojny... więcej nikt go niepokoić nie będzie ani w instytucie,

ani w domu... środki będą zarządzane, kamery jego w najzupełniejszym bezpieczeństwie...

— A czy by nie można, ażebyście wy reporterów rozstrzelowali? — spytał Piersikow, patrząc ponad okularami.

Pytanie to rozweseliło nadzwyczajnie gości. Nie tylko ponury malutki, ale nawet i ten w ciemnych binoklach uśmiechnął się w przedpokoju. Anioł, błyszcząc i promieniejąc, objaśniał, że to niemożliwe.

— A co to za kanalia była u mnie?

Tu wszyscy przestali się uśmiechać i anioł odpowiedział wymijająco, że to tak, jakiegokolwiek drobny aferzysta, nie warto zwracać uwagi... mimo to jednak usilnie prosi obywatela profesora o zachowanie w tajemnicy tego, co zaszło dziś wieczór, i goście wyszli.

Piersikow powrócił do gabinetu, do wykresów, lecz zająć się pracą mimo wszystko mu się nie udało. Telefon wyrzucił świecący krążek i kobiecy głos zaproponował profesorowi, że jeżeli życzy sobie ożenić się w wdowę intere-

sującą i namiętą, mieszkanie z siedmiu pokoi. Piersikow zawył do słuchawki:

— Radzę pani leczyć się u profesora Rossolimo⁴⁹... — i otrzymał drugi dzwonek.

Tu Piersikow cokolwiek ochlapł, gdyż osoba, dostatecznie znana, dzwoniła z Kremla, długo i z zainteresowaniem dopytywała się Piersikowa o jego pracę i wyraziła życzenie odwiedzenia laboratorium. Odszedłszy od telefonu, Piersikow wytarł czoło i zdjął słuchawkę. Wtedy w mieszkaniu na górze zagrzmiały straszne trąby i pomknęły skargi Walkirii — radioodbiornik u dyrektora trustu⁵⁰ sukiennego przyjmował koncert wagnerowski w Wielkim teatrze. Piersikow przy wyciu i grzmotach, sypiących się z sufitu, oznajmił Marii Stiepanawnie, że odda dyrektora do sądu, że mu połamie ten jego odbiornik, że wyjedzie z Moskwy do diablej matki, dlatego że, widocznie, wzięto sobie za cel wysiedlenie go stąd. Rozbił lupę i położył

⁴⁹*Rossolimo, Grigorij Iwanowicz* (1860–1928) — rosyjski neurolog. [przypis edytorski]

⁵⁰*trust* — monopolistyczne przedsiębiorstwo powstałe w wyniku połączenia firm z jednej branży. [przypis edytorski]

się spać w gabinecie na otomanie i zasnął przy delikatnych dźwiękach klawiszy znakomitego pianisty, dobiegających z Wielkiego teatru.

Niespodzianki ciągnęły się i następnego dnia. Przyjechawszy tramwajem do instytutu, Piersikow spotkał na ganku nieznanego mu obywatela w modnym zielonym meloniku. Ten uważnie obejrzał Piersikowa, lecz nie zwracał się do niego z żadnymi zapytaniami i dlatego Piersikow zniósł go. Lecz w przedsionku instytutu, oprócz roztargnionego Pankrata, na spotkanie Piersikowa wstał drugi melonik i uprzejmie go przywitał:

— Jak się pan ma, obywatelu profesorze?

— Co pan sobie życzy? — spytał strasznie Piersikow, zrywając przy pomocy Pankrata palto z siebie. Lecz melonik szybko uspokoił Piersikowa, najczulszym głosem szepnąwszy, że profesor na próżno niepokoi się. On, melonik, właśnie po to tu się i znajduje, ażeby wybawić profesora od wszelkich uprzykszonych gości... że profesor może być spokojny nie tylko o drzwi gabinetu, ale i o okna. Potem nie-

znajomy odwrócił na chwilę wyłóg⁵¹ marynarki i pokazał profesorowi jakiś znaczek.

— Hm... jednakże u was zdrowo postawione są sprawy — mruknął profesor i dodał naiwnie: a co wy tu jeść będziecie?...

Na to melonik uśmiechnął się i wyjaśnił, że go będą zmieniać.

Trzy dni potem minęły wspaniale. Odwiedzali profesora dwukrotnie z Kremla, i jeden raz byli studenci, których Piersikow egzaminował. Studenci poobcinali się co do jednego, i z twarzy ich widać było, że teraz już Piersikow wzbudza w nich po prostu lęk przesądny.

— Idźcie na konduktorów!... Wy nie możecie zajmować się zoologią — dobiegało z gabinetu.

— Surowy? — dopytywał się melonik Pankrata.

— Uh — nie daj Boże — odpowiedział Pankrat — jeżeli którykolwiek zda, wychodzi

⁵¹wyłóg — wywinięta i obszyta innym materiałem kłapa marynarki. [przypis edytorski]

gołąbek z gabinetu i chwieje się. Siedem potów na niego uderzy. I zaraz do piwiarni.

Przy wszystkich tych sprawach profesor i nie zauważył trzech dni, lecz na czwarty wrócono go znów do życia realnego, a powodem tego był cienki i piskliwy głos z ulicy.

— Włodzimierzu Ipatiewiczu! — zawołał głos przez otwarte okno z ulicy Hercena. Głowski udało się: Piersikow zbyt się przemęczył w ostatnich dniach. W tej chwili akurat odpoczywał, leniwie, osłabiony, patrzył oczyma w cerwonych obwódkach i palił, siedząc w fotelu. Więcej nie mógł. I dlatego nawet z pewną ciekawością wyjrzał przez okno i zobaczył na trotuarze Alfreda Brońskiego. Profesor od razu poznał utytułowanego posiadacza biletu po śpiczastym kapeluszu i block-notesie. Brońskij czule i z szacunkiem pokłonił się oknu.

— Ach, to pan? — spytał profesor. Brakło mu wprost sił rozgniewać się i nawet wydało mu się ciekawym, co takiego będzie dalej. Zakryty oknem, czuł się bezpiecznym przed Alfredem. Niezmienny melonik na ulicy natych-

miast zwrócił ucho ku Brońskiemu. Najmilszy uśmiech zakwitł na twarzy tego.

— Parę minutek, drogi profesorze — przemówił Brońskij, nateżając głos z trotuaru: — i tylko jedno pytańko i czysto zoologiczne. Pozwoli pan sobie zadać?

— Niech pan zadaje — lakonicznie i ironicznie odpowiedział Piersikow i pomyślał: „jednak w tym szubrawcze jest coś amerykańskiego”.

— Co pan powie co do kur, drogi profesorze? — krzyknął Brońskij, złożonywsy dłonie jak tubę.

Piersikow zdumiał się. Usiadł na desce okiennej, potem zlął, nacisnął guzik i zawołał, wskazując palcem na okno:

— Pankrat, wpuść tego z trotuaru.

Kiedy Brońskij zjawił się w gabinecie, Piersikow na tyle okazał swą uprzejmość, że warknął do niego: niech pan siada!

I Brońskij, uśmiechając się z zachwytem, usiadł na taborecie ze śrubą.

— Niech pan mi objaśni, proszę bardzo — przemówił Piersikow: pan pisze tam, w tych waszych gazetach?

— Tak jest — z szacunkiem odpowiedział Alfred.

— I oto dla mnie jest niezrozumiałe, jak pan może pisać, jeżeli pan nie umie nawet mówić po rusku. Co to za „parę minutek” i „co do kur”? Pan, prawdopodobnie chciał spytać „o kurach”?

Brońskij z przymusem i szacunkiem roześmiał się:

— Walentyn Piotrowicz poprawia.

— Kto to taki Walentyn Piotrowicz?

— Kierownik działu literackiego.

— No, pięknie. Zresztą nie jestem filologiem. Na bok waszego Piotrowicza. Co właściwie chce pan wiedzieć o kurach?

— W ogóle wszystko, co pan powie, profesorze.

Tu Brońskij uzbroił się w ołówek. Zwycięskie iskry błysnęły w oczach Piersikowa.

— Pan na próżno zwrócił się do mnie, nie jestem specjalistą od pierzastych. Lepiej by było panu zwrócić się do Jemieljana Iwanowicza Portugałowa w I uniwersytecie. Ja osobiście wiem bardzo mało...

Brońskij uśmiechnął się z zachwytem, dając do zrozumienia, że zrozumiał żart drogiego profesora. „Żart — mało!” — nakreślił w block-notesie.

— Zresztą, o ile tylko to pana interesuje, proszę bardzo. Kury, czyli grzebiące... gatunek ptaków z oddziału kurzych. Z rodziny bażancich... — przemówił Piersikow donośnym głosem i patrząc nie na Brońskiego, a gdzieś w dal, gdzie przed nim domyśleć się było można tysięcy ludzi... — z rodziny bażancich... *fasianide*... Wyobrażają z siebie ptaki z mięsisto-skórzanym grzebieniem i dwoma woreczkami pod dolną szczęką... hm... chociaż zresztą bywa i jeden w środku podbródka... No, cóż jeszcze. Skrzydła krótkie i zaokrąglone... Ogon średniej długości, cokolwiek stopniowany, a nawet, powiedziałbym, podobny do strzechy, pióra środ-

kowe wygięte w kształcie sierpu... Pankrat... przynieś z gabinetu modeli model Nr. 705, kogut w przekroju... zresztą, panu to niepotrzebne? Pankrat, nie przynoś modelu... Powtarzam panu, nie jestem specjalistą, niech pan idzie do Portugałowa. No, ja osobiście znam 6 gatunków dziko żyjących kur... hm... Portugałow zna ich więcej... w Indiach i na Malajskim archipelagu. Na przykład, kogut Bankiwski, albo Kaziutu, przebywa na przedgórzach Himalai, w całych Indiach, w Assamie, w Birmie... Kogut z ogonem w kształcie wideł lub *Gallus Varius* na Lomboku, Sumbawie i Flores. A na wyspie Jawie przebywa godzien uwagi kogut *Gallus Eneus*, na południo-wschodzie Indii mogę panu polecić bardzo pięknego koguta Sonneratha... Pokażę panu potem rysunek. Co się zaś dotyczy Cejlonu, to na nim spotykamy koguta Stanley, więcej nigdzie on nie przebywa.

Brońskij siedział z wytrzeszczonymi oczyma i smarował.

— Powiedzieć panu cośkolwiek jeszcze?

— Chciałbym cośkolwiek dowiedzieć się co do chorób kurzych — cichutko szepnął Alfred.

— Hm, nie jestem specjalistą... pan by się Portugałowia spytał... No, soliter⁵², ssące robaki, świerzbiący kleszcz, żelaźnica, ptasi kleszcz, wesz kurza albo puchojad, pchły, cholera kurza, grypowo-dyfterytowe zapalenie błon śluzowych. Pneumonikoz, tuberkuloza⁵³, kurze parchy⁵⁴... czy mało, co może być... (iskry biegły w oczach Piersikowa)... zatrucie, na przykład wścieklizną, opuchlizny, choroba angielska, żółtaczką, reumatyzm, grzybek *Achorion Scherlajni*... bardzo ciekawa choroba. Przy zachorowaniu na niego na grzebieniu tworzą się malutkie plamy, podobne do pleśni...

Brońskij wytarł pot z czoła kolorową chustką do nosa.

— A jaka jest, zdaniem pana, profesorze, przyczyna obecnej katastrofy?...

⁵²*soliter* — tasiemiec uzbrojony. [przypis edytorski]

⁵³*tuberkuloza* — gruźlica. [przypis edytorski]

⁵⁴*parch* — choroba skóry, której objaw stanowią żółtawe strupy (także: te strupy). [przypis edytorski]

— Jakiej katastrofy?

— Jak to, czyżbyż pan nie czytał, profesorze? — zdumiał się Brońskij i wyciągnął z portfela zmięty arkusz gazety „Izwestii”.

— Nie czytam gazet — odpowiedział Piersikow i nachmurzył się.

— Lecz dlaczego, profesorze? — delikatnie spytał Alfred,

— Dlatego, że głupstwa jakieś tam piszą — bez namysłu odpowiedział Piersikow.

— Lecz jakżeż, profesorze? — miękko szepnął Brońskij i rozwinął arkusz.

— Co takiego? — spytał Piersikow i nawet wstał z miejsca. Teraz iskry zaskakały w oczach Brońskiego. Podkreślił ostrym, lakierowanym palcem nieprawdopodobnej wielkości tytuł przez całą stronę gazety: „Dżuma kurza w Republice”.

— Co? — spytał Piersikow, zsuwając na czoło okulary.

ROZDZIAŁ VI. MOSKWA W CZERWCU 1928 ROKU

Błyszczała, ognie tańczyły, gasły i wybuchały. Na placu Teatralnym kręciły się białe latarnie autobusów, zielone ognie tramwajów; nad byłym Mühr i Merilizem, nad dziesiątym, nadbudowanym piętrem skakała elektryczna, różnobarwna kobieta, wyrzucając po literze różnobarwne słowa: „Kredyt robotniczy”. Na skwerze, naprzeciwko teatru Wielkiego, gdzie biła w nocy różnobarwna fontanna, tłoczył się i huczał tłum. A nad Wielkim teatrem olbrzymia tuba wyła:

— Antykurze szczepionki w Lefortowskim instytucie weterynaryjnym dały wspaniałe wyniki. Ilość... kurzych śmierci w dniu dzisiejszym zmniejszyła się podwójnie...

Potem tuba zmieniła tempo, coś ryczało w niej, nad teatrem wybuchały i gasły zielone promienie i tuba skarżyła się basem:

— Utworzona została nadzwyczajna komisja do walki z dzumą kurzą w składzie nar-

komzdrawa⁵⁵, narkomziema⁵⁶, zarządzającego hodowlą zwierząt towarzysza Ptach-Porosińska, profesorów Piersikowa i Portugałowa... i towarzysza Rabinowicza!... Nowe próby interwencji!... — chichotała i płakała, jak szakał, tuba. — w związku z dzumą kurzą!...

Przejazd Teatralny, Nieglinnyj i Łubianka płonęły białymi i fioletowymi smugami, tryskały promieniami, wyły sygnałami, kłębiły się kurzem. Tłumy ludzi tłoczyły się pod ścianami przed wielkimi arkuszami obwieszczeń, oświetlonych ostrymi czerwonymi reflektorami:

„Pod grozą najsurowszej odpowiedzialności zabrania się ludności używać na pokarm kurze mięso i jajka. Handlarze prywatni w razie usiłowania sprzedawania ich na targu podlegają odpowiedzialności karnej z konfiskatą całego majątku. Wszyscy obywatele, posiadający jajka, winni w określonym porządku oddać je do okręgowych oddziałów milicji”.

⁵⁵*narkomzdraw* — skrót od ros. *Narodnyj komissariat zdrawoochronienija*, tj. Ludowy Komisariat Ochrony Zdrowia. [przypis edytorski]

⁵⁶*narkomziem* — ros. skrót: Ludowy Komisariat Rolnictwa. [przypis edytorski]

Na dachu „Gazety Robotniczej”, na ekranie, stosem do samego nieba leżały kury i zielonkawi strażacy, migając i błyszcząc, polewali je przez węże naftą. Potem czerwone fale chodziły po ekranie, martwy dym rozrastał się i miotał strzępami, pełzał strumieniami, wyskakiwał ognisty napis: „Spalenie kurzych trupów na Chodynce”.

Ślepymi otworami patrzyły wśród wściekle płonących witryn magazynów, handlujących do godziny 3 w nocy, z dwoma przerwami na obiad i śniadanie, zabite deskami okna pod szyldami: „Handel jaj. Za dobroć gwarancja”. Bardzo często, wyjąc przeraźliwie, omijając ciężkie autobusy, obok milicjantów mknęły syczące maszyny z napisem: „Moszdrawodział. Pogotowie ratunkowe”.

— Obzarł się ktoś jeszcze zgniłymi jajkami
— szeptali w tłumie.

W liniach Pietrowskich zielonymi i pomarańczowymi latarniami błyszczała znakomita na cały świat restauracja „Empire” i w niej na sto-

likach, przy przenośnych telefonach, leżały szyl-
dziki kartonowe, zalane plamami likierów: „Na
skutek rozporządzenia — nie ma omletów. Otrzy-
mano świeże ostrygi”.

W Ermitażu⁵⁷, gdzie jak perełki żalobnie
płonęły chińskie latarki, w martwej, miłej zie-
leni, na mordującej oczy swym przeraźliwym
światłem estradzie, kupłeciści⁵⁸ Szrams i Kar-
manczykow śpiewali kuplety⁵⁹, utworu poetów
Ardo i Argujewa.

Ach, mamó, co ja będę robić
Bez jaj??

i uderzali nogami w podłogę.

Teatr imienia zmarłego Wsiewołoda Mey-
erholda⁶⁰, który zginął, jak wiadomo, w 1927
r.⁶¹ przy wystawianiu Puszkiewskiego *Bory-*

⁵⁷*ermitaż* (z fr.) — pustelnia (nie chodzi tu o państwowe muzeum rosyjskie, gdyż akcja dzieje się w Moskwie, nie w Sankt Petersburgu). [przypis edytorski]

⁵⁸*kuplecista* — śpiewający kabareciarz. [przypis edytorski]

⁵⁹*kuplet* — piosenka satyryczna. [przypis edytorski]

⁶⁰*Meyerhold, Wsiewołod Emilewicz* (1874–1940) — rosyjski aktor i nowatorski reżyser. [przypis edytorski]

⁶¹*który zginął, jak wiadomo, w 1927 r.* — fikcja literacka. [przypis edytorski]

sa *Godunowa*⁶², kiedy runęły trapezy z nagimi bojarami⁶³, wyrzucił ruchomy różnobarwny szyld elektryczny, zawiadamiający o wystawieniu sztuki literata Erendorga *Kurze zdychanie*, pod reżyserią ucznia Meyerholda, zasłużonego reżysera republiki Kuchtermana. Obok, w Akwarium, mieniąc się ogniami reklamowymi i błyszcząc na wpół obnażonymi ciałami niewieściami, w zieleni estrady, przy grzmocie oklasków, szła rewia literacka Leniwijewa *Kurze dzieci*. A przez Twerską, z latarkami po bokach mord, szły szeregiem osiołki cyrkowe, niosące na sobie błyszczące plakaty. W teatrze Korszua wznowiono *Chanteclaira* Rostanda⁶⁴.

Chłopcy-gazeciarze ryczeli i wyli między kołami samochodów:

— Koszmarne odkrycie w podziemiach!...
Polska szykuje się do koszmarnej wojny!!...
Koszmarne doświadczenia profesora Piersikowa!!

⁶²*Borys Godunow* — opera Modesta Musorgskiego z librettem Aleksandra Puszkina, powstała w latach 1868–1872. [przypis edytorski]

⁶³*bojar* — rosyjski szlachcic. [przypis edytorski]

⁶⁴*Rostand, Edmond* (1868–1918) — francuski poeta i dramaturg, autor m. in. *Cyrano de Bergeraca*. [przypis edytorski]

W cyrku byłego Nikitina, na przyjemnie pachnącej nawozem brunatnej arenie trupio-blady clown Bom mówił do rozpuchłego w kra-
ciastym worku Bima:

— Wiem, dlaczego jesteś taki smutny?

— Od czego? — piskliwie zapytał Bim.

— Ty zakopałeś jajka do ziemi, a milicja 15 okręgu je znalazła.

— Ha-ha-ha-ha! — śmiał się cyrk tak, że w żyłach zastygała radośnie i tęsknie krew i pod starą kopułą powiewały trapezy i pajęczyna.

— A-ap! — przejmująco krzyczeli clowni i wypasiony biały koń wynosił na sobie cud-nej piękności kobietę na zgrabnych nóżkach, w malinowych trykotach.

*

Nie patrząc na nikogo, nikogo nie spostrze-
gając, nie odpowiadając na popychania i ci-
che czułe wezwania prostytuttek, przemykał się
Mochową natchniony i samotny, uwieńczony
nieoczekiwaną sławą Piersikow do płomiennie-
go zegara przy maneżu. Tu, nie patrząc wo-

koło, pochłonięty swymi myślami, zetknął się z dziwnym, staromodnym człowiekiem, boleśnie uderzywszy palcami prosto w drewnianą kolbę rewolweru, wiszącego u człowieka na pasie.

— Ach, czort! — pisnął Piersikow — przepraszam.

— Przepraszam — odpowiedział spotkany nieprzyjemnym głosem, i jakoś rozłączyli się w ludzkiej kaszy. I profesor, kierując się na Preczystienkę, natychmiast zapomniał o spotkaniu.

ROZDZIAŁ VII. ROKK

Nie wiadomo ściśle czy dobre były lefortowskie weterynaryjne szczepionki, czy zdolne były ochronne oddziały samarskie, czy pomyślne ostre środki, przyjęte w stosunku do skupujących jaja w Kałudze i Woroneżu, czy z powodzeniem pracowała nadzwyczajna moskiewska komisja — lecz dobrze wiadomo, że w dwa tygodnie po ostatnim spotkaniu się Piersiko-

wa z Alfredem w sensie kur w Związku Republik było zupełnie czysto. Gdźieniegdzie na podwórkach miasteczek powiatowych przewalały się kurze osierocone pióra, wywołując łzy w oczach, i w szpitalach przychodzili do zdrowia ostatni z chciwych, wykańczając biegunkę z wymiotami. Wypadków śmierci wśród ludzi, na szczęście, w całej republice było nie więcej nad tysiąc. Wielkie zaburzenia również nie nastąpiły. Objawił się, co prawda, w Wołokołamsku prorok, obwieszczający, że pomór kur wywołany został nie przez kogo innego, jak przez komisarzy, lecz szczególnego powodzenia nie miał. Na bazarze Wołokołamskim pobito kilku milicjantów, odbierających babom kury, i wybito szyby w miejscowym oddziale pocztowo-telegraficznym. Na szczęście roztropne władze wołokołamskie zarządziły natychmiast kroki, w wyniku których, po pierwsze, prorok przerwał swą działalność, a po drugie szyby w telegrafie wprawiono.

Doszedłszy na północ do Archangielska i Siumkina Wysiełka, dzuma zatrzymała się sama przez

się z tego powodu, że dalej iść nie miała już gdzie, na Białym morzu, jak wiadomo, kury się nie hodują. Zatrzymała się i we Władywostoku, gdyż dalej był ocean. Na dalekim południu — przepadła i ucichła gdzieś w spalonych przestrzeniach Ordubatu, Dzulfy i Karakułaku, a na zachodzie w sposób zdumiewający zatrzymała się akurat na polskiej i rumuńskiej granicy. Klimat, czy co, były tam inne, czy też odegrały pewną rolę środki ochronno-kordonowe, przedsięwzięte przez sąsiednie rządy, lecz jest faktem, że dzuma dalej nie poszła. Prasa zagraniczna hałaśliwie, chciwie omawiała niesłychany w historii pomór, a rząd republik sowieckich, nie wszczynając żadnego hałasu, pracował nie opuszczając rąk. Komisja nadzwyczajna do walki z kurzą dzumą przemianowała się na komisję nadzwyczajną dla podniesienia i odrodzenia hodowli kur w republice, dopełniła się nową nadzwyczajną trójką, w składzie szesnastu towarzyszy. Został założony „Dobrokur”, do którego jako honorowi towarzysze przewodniczącego weszli Piersikow i Portugałow.

W gazetach pod ich portretami ukazały się tytuły: „Masowy zakup jaj zagranicą” i „Pan Juz chce przerwać kampanię jajkową”. Stał się głośnym w całej Moskwie zjadliwy felieton dziennikarza Koleczki, kończący się słowami: „Nie łakomcie się, panie Juz, na nasze jaja — u was są swoje!”

Profesor Piersikow zamęczył się zupełnie i zapracował w ciągu ostatnich trzech tygodni. Kurze wypadki wykoleiły go i zwały na niego podwójny ciężar. Całymi wieczorami zmuszony był pracować na posiedzeniach kurzych komisji i od czasu do czasu znosić długie rozmowy to z Alfredem Brońskim, to z mechanicznym grubasem. Trzeba było razem z profesorem Portugałowem i prywat-docentem Iwanowem i Bornhartem dokonywać sekcji i badać przez mikroskop kury w poszukiwaniu bakcyla⁶⁵ dżumy, i nawet w przeciągu trzech wieczorów naprędce napisać broszurę: *O zmianach w wątrobie u kur przy dżumie.*

⁶⁵bakcyl — zarazek. [przypis edytorski]

Pracował Piersikow bez szczególnego zapału w dziedzinie kurzej, co jest zupełnie zrozumiałe — cała głowa jego była zajęta czym innym — zasadniczym i ważnym — tym, od czego oderwała go kurza katastrofa, tj. czerwonym promieniem. Rozstrajając swoje i bez tego wątłe zdrowie, urywając godziny od snu i jedzenia, czasami nie wracając na Preczystienkę, a sypiając na ceratowej otomanie w gabinecie instytutu, Piersikow całymi nocami krzątał się przy kamerze i mikroskopie.

Pod koniec lipca gwałt cokolwiek ucichł. Sprawy przemianowanej komisji weszły na normalne tory i Piersikow powrócił do opuszczonej pracy. Mikroskopy były zavalone nowymi preparatami, w kamerze pod promieniem dojrzewała z bajeczną szybkością rybia i żabia ikra. Z Królewca aeroplanem dostarczono specjalnie zamówione szkła i w ostatnich dniach lipca, pod dozorem Iwanowa, mechanicy zbudowali dwie nowe wielkie kamery, w których promień osiągał przy podstawie szerokość pudełka od papierosów, a w końcu — całego metra.

Piersikow radośnie zacierał ręce i począł szykować się do jakichciś tajemniczych i skomplikowanych doświadczeń. Przede wszystkim, przez telefon rozmówił się z komisarzem ludowym oświaty, i słuchawka nakwakała mu najuprzejmiejsze i wszelkiego rodzaju współdziałanie, a potem Piersikow przez telefon zawezwał towarzysza Ptach-Porosiuka, kierownika oddziału hodowli zwierząt przy komisji zwierzchniej. Ze strony Ptachy spotkał Piersikow jak najcieplejszą uwagę. Rzeczą szła o wielkie zamówienie zagranicą dla profesora Piersikowa. Ptacha rzekł przez telefon, że natychmiast telegrafuje do Berlina i New Yorku. Potem informowano się z Kremla, jak idzie praca Piersikowa i uprzejmy głos spytał, czy nie potrzebuje Piersikow samochodu?

— Nie, dziękuję panu. Wolę jeździć tramwajem — odpowiedział Piersikow.

— Lecz dlaczego? — spytał tajemniczy głos i uśmiechnął się pobłaźliwie.

Z Piersikowem w ogóle wszyscy rozmawiali albo z szacunkiem i strachem, albo też

pobłażliwie się uśmiechając, jak z malutkiego, choć i wielkiego dziecka.

— Prędzej idzie — odrzekł Piersikow, po czym dźwięczny basek w telefonie odpowiedział:

— No, jak pan chce.

Minął jeszcze tydzień, przy czym Piersikow, wciąż coraz bardziej oddalając się od uciążających kwestii kurzych, w zupełności oddał się badaniu promienia. Głowa jego skutkiem nocy bezsennych i przemęczenia stała się jasna, jakby przezroczysta, i lekka. Czerwone obwódki nie schodziły teraz z oczu jego, i prawie każdą noc Piersikow nocował w instytucie. Jedy-ny raz porzucił schronisko zoologiczne, ażeby w olbrzymiej sali Cekubu na Preczysticnce wygłosić referat o swoim promieniu i o działaniu tegoż na komórki jaj. Była to olbrzymia praca zoologa dziwaka. W sali kolumnowej od kłaskania rąk coś się sypało i waliło z sufitów i sy-czące łukowe lampki zalewały potokami świa-

tła czarne smokingi⁶⁶ cekubistów i białe suknie kobiet. Na estradzie, obok katedry, siedziała na szklannym stole, ciężko dysząc i szarzejąc, na półmisku, wilgotna żaba wielkości kota. Na estradę rzucono kartki. W liczbie ich było siedem miłosnych, i Piersikow podarł je. Siłą wyciągał go na estradę przewodniczący Cekubu, ażeby się kłaniał. Piersikow rozdrażniony kłaniał się, ręce miał spocone, mokre i czarny krawat siedział nie pod podbródkiem, a za lewym uchem. Przed nim w oddechach i mgłę były setki żółtych twarzy i męskich białych piersi, i naraz żółta kolba pistoletu mignęła i przepadła gdzieś za białą kolumną. Piersikow mętnie zauważył ją i zapomniał. Lecz wyjeżdżając po odczycie, schodząc po malinowym dywanie schodów, naraz poczuł, że jest mu niedobrze. Na moment zasłoniło czarnym jaskrawo płonący żyrandol w westybulu i Piersikowowi zrobiło się słabo, mdło... Poczł jakby czad, wydało mu się, że płynie mu po szyi lepka i go-

⁶⁶*smoking* — wieczorowy strój męski: marynarka z klapami obszytymi błyszczącym jedwabiem, czarna kamizelka i spodnie z lampasami. [przypis edytorski]

rąca krew... I drżącą ręką schwytał profesor za poręcz.

— Panu niedobrze, Włodzimierzu Ipatiewiczu? — zarzuciły go naraz pytaniami zaniepokojone głosy.

— Nie, nie — odpowiedział Piersikow, przychodząc do siebie — po prostu przemęczyłem się... tak... Proszę, dajcie mi szklankę wody...

*

Był bardzo słoneczny dzień sierpniowy. Przeszkadzał profesorowi, dlatego też stopy były zapuszczone. Jeden giętki na nóżce reflektor rzucał pęk ostrego światła na szklanny stół, zawalony instrumentami i szklami. Opuściwszy się na oparcie fotela na śrubie, Piersikow w znużeniu palił i przez smugi dymu patrzył martwymi ze zmęczenia, lecz zadowolonymi oczyma w uchylone drzwi kamery, gdzie, ledwie — ledwie ogrzewając i bez tego duszne i nieczyste powietrze w gabinecie, cicho leżał czerwony snop promienia.

Zastukano do drzwi.

— No? — spytał Piersikow.

Drzwi miękko zaskrzypiały i wszedł Pankrat. Wyprostował się na baczność i, blednąc ze strachu przed bóstwem, rzekł tak:

— Tam do pana, panie profesorze, Rokk przyszedł.

Coś na kształt uśmiechu ukazało się na twarzy uczonego. Przymrużył oczki i spytał:

— To ciekawe. Tylko że jestem zajęty.

— Oni mówią, że z urzędowym papierem z Kremla.

— Rokk⁶⁷ z papierem? Rzadkie połączenie — wyrzekł Piersikow i dodał: No więc dawaj go tutaj!

— Słucham — odpowiedział Pankrat i jak wąż znikł za drzwiami.

Po chwili skrzypnęły drzwi i zjawił się na progu człowiek. Piersikow zaskrzypiał śrubą i spojrział na przybyłego sponad okularów przez ramię. Piersikow był zbyt daleki od życia — nie interesował się nim zupełnie, lecz tu nawet Pier-

⁶⁷Rokk — gra słów: po rosyjsku nazwisko „rok” może oznaczać los a. fatalizm.
[przypis edytorski]

sikowowi rzucił się w oczy zasadniczy i główny rys wchodzącego człowieka. Był dziwnie staromodny. W 1919 roku ten człowiek byłby zupełnie na miejscu na ulicach stolicy, byłby nawet znośny w 1924 r., w początku jego, lecz w 1928 roku byłby już dziwny. W tym czasie, kiedy najbardziej nawet zacofana część proletariatu — piekarze — chodzili w marynarkach, kiedy w Moskwie rzadkością był french — staromodny kostium, porzucony ostatecznie w końcu 1924 r. — na przybyszu była skórzana kurtka z dwoma wyłogami, zielone spodnie, na nogach owijacze i sztyblety⁶⁸, a przy boku olbrzymi starej konstrukcji pistolet mauser w żółtej skórzanej pochwie. Twarz przybysza wywarła na Piersikowie to samo wrażenie, co i na wszystkich — nader nieprzyjemne wrażenie. Malutkie oczki patrzyły na cały świat ze zdumieniem, i jednocześnie z pewnością siebie, coś pewnego siebie było w krótkich nogach z płaskimi stopami. Twarz sina — wygolona. Pier-

⁶⁸sztyblety — krótkie obuwie męskie z kawałkami gumy wszytymi przy cholewach. [przypis edytorski]

sikow od razu nachmurzył się. Bezlitośnie zakrzypiał gwintem i, patrząc na wchodzącego już nie sponad okularów, a przez nie, mówił:

— Pan z papierem? Gdzież jest?

Przybysz widocznie był oszołomiony tym, co zobaczył. W ogóle mało był zdolny zmieszać się, lecz tu zmieszał się. Sądząc z oczek, zdumiała go przede wszystkim szafa o 12 półkach, dochodząca do sufitu i szczelnie zapchana książkami. Potem, rozumie się, kamery, w których, jak w piekle, błyszczał malinowy, rozrosły w szklach, promień. I sam Piersikow w półmroku przy ostrej igle promienia, wypadającego z reflektora, był dostatecznie dawny i wspinały na fotelu śrubowym. Przybysz wlepił w niego spojrzenie, w którym wyraźnie przez pewność siebie drgały iskry szacunku, żadnego papieru nie podał, a rzekł:

— Jestem Aleksander Siemienowicz Rokk!

— No? Więc co?

— Mianowany jestem zarządzającym wzorowego sowchozu „Czerwony Promień” — objaśnił przybysz.

— No więc?

— I oto do was, towarzyszu, z sekretnym poleceniem.

— Ciekawe by było dowiedzieć się. Krócej, jeżeli można.

Przybysz rozpiął wyłogi kurtki i wysunął rozkaz, wydrukowany na wspaniałym mocnym papierze. Wręczył go Piersikowowi. A potem bez zaproszenia usiadł na śrubowym taborecie.

— Nie pchnijcie stołu — z nienawiścią rzekł Piersikow.

Przybysz z przestraczem spojrział na stół, na odległym brzegu którego w wilgotnym ciemnym otworze połyskiwały martwo, jak szmaragdy, czyjeś oczy. Powiało zimnem na niego od nich.

Ledwie tylko Piersikow przeczytał papier, zerwał się z taboretu i podbiegł do telefonu. Po kilku sekundach już mówił spiesznie i w najwyższym stopniu rozdrażnienia:

— Darujcie... Nie mogę zrozumieć... Jakżeż tak? Ja... bez mojej zgody, rady... Toż, przecież, on diabli wiedzą, co narobi!!

Tu nieznajomy odwrócił się w ostatecznym oburzeniu na taborecie.

— Przepraszam — zaczął: jam zarzą...

Lecz Piersikow machnął na niego haczykiem i ciągnął dalej:

— Przepraszam, nie mogę zrozumieć... Ja, w końcu, kategorycznie protestuję. Nie dam swojej sankcji⁶⁹ na próby z jajami... Dopóki sam nie wypróbuję ich...

Coś kwakało i stukalo w słuchawce, i nawet z odległości było zrozumiałe, że głos w słuchawce, pobłażliwy, mówi z małym dzieckiem. Skończyło się na tym, że czerwony Piersikow z hasłem zawiesił słuchawkę i obok niej rzekł do ściany:

— Umywam ręce.

Wrócił do stołu, wziął z niego papier, przeczytał go raz jeszcze od góry do dołu przez okulary, i naraz zawył:

— Pankrat!

⁶⁹sankcja — tu: zezwolenie. [przypis edytorski]

Pankrat zjawił się w drzwiach, jakby podniósł się dźwigiem w operze. Piersikow spojrział na niego i warknął:

— Wyjdź precz, Pankrat!

I Pankrat, nie wyrażając na twarzy najmniejszego zdziwienia, znikł.

Potem Piersikow zwrócił się do przybysza i przemówił:

— Pozwoli pan!... Jestem posłuszny. Nie moja rzecz. I mnie to nie interesuje.

Przybysza profesor nie tyle obraził, ile zdumiał.

— Przepraszam — zaczął: wy przecież, towarzyszu?

— Co pan wciąż towarzysz i towarzysz...
— chmurnie przebąknął Piersikow i umilkł.

„Jednakże” — wypisało się na twarzy Rokka.

— Prze...

— Tak więc, proszę bardzo — przerwał Piersikow: oto kula łukowa. Od niej pan otrzymuje drogą przesunięcia okularu — Piersikow szczęknął pokrywką kamery, podobną do apa-

ratu fotograficznego: — wiązkę, którą może pan zebrać drogą przesunięcia obiektywów, oto Nr. 1. i lustro Nr. 2 — Piersikow zgasił promień, znów zapalił go na podłodze azbestowej kamery: a na podłodze w promieniu możecie rozłożyć wszystko, co się wam spodoba, i robić próby. Nadzwyczaj proste, nieprawdaż?

Piersikow chciał wyrazić ironię i pogardę, lecz przybysz nie zauważył ich, uważnie błyszczącymi oczkami wpatrując się w kamerę.

— Tylko uprzedzam — ciągnął dalej Piersikow: ręk nie należy wsuwać w promień, gdyż zgodnie z moimi obserwacjami wywołuje on przerost epitelium⁷⁰... a czy złośliwy, on jest czy nie, ja, ku wielkiemu ubolewaniu, nie mogłem jeszcze ustalić.

Tu przybysz zręcznie schował ręce swe za plecy, upuszczając skórzaną czapkę i popatrzał na ręce profesora. Były one na wskroś przepalone jodem, a prawa przy dłoni była obandażowana.

— A jakżeż pan, profesorze?

⁷⁰*epitelium* — nabłonek. [przypis edytorski]

— Możecie kupić gumowe rękawiczki u Szwa-
be na Kuznieckim — w rozdrażnieniu odrzekł
profesor. — Nie jestem obowiązany troszczyć
się o to.

Tu Piersikow popatrzał na przybysza zupeł-
nie jak przez lupę:

— Skąd się pan wziął? W ogóle... dlaczego
pan?...

Rokk, wreszcie, obraził się mocno.

— Przepr...

— Wszak, trzeba przecież wiedzieć, o co
idzie sprawa!... Dlaczego pan się przyczepił do
tego promienia?...

— Dlatego, że to olbrzymiej wagi sprawa...

— Aha. Olbrzymiej?... Zatem... Pankrat!

I kiedy Pankrat ukazał się:

— Poczekaj, pomyślę.

I Pankrat pokornie czekał.

— Ja — mówił Piersikow — nie mogę
zrozumieć oto czego: dlaczego potrzebny jest
taki pośpiech i sekret?

— Pan, profesorze, zbił mnie już z pantaląku — odpowiedział Rokk: pan nie wie, że kury wszystkie zdechły co do jednej.

— No więc cóż z tego? — zawołał Piersikow: cóż to wy chcecie wskrzeszać je momentalnie, czy co? I dlaczego przy pomocy jeszcze niezbadanego promienia?

— Towarzyszu profesorze — odpowiedział Rokk: pan mi, słowo honoru, przerywa. Mówię panu, że nam koniecznie potrzeba wznowić u siebie hodowlę kur, dlatego że za granicą piszą o nas wszelakie obrzydliwości. Tak.

— I niech sobie piszą...

— No, wie pan — zagadkowo odpowiedział Rokk i pokręcił głową.

— Komu, pragnął bym wiedzieć, przyszła do głowy myśl hodować kury z jajek...

— Mnie — odpowiedział Rokk.

— Uhu... Tek-s... A dlaczego, pozwoli pan się dowiedzieć? Skąd pan się dowiedział o właściwościach promienia?

— Byłem, profesorze, na pańskim odczytce.

— Ja z jajami jeszcze nic nie robiłem!...
Dopiero zamierzam!

— Jak Boga kocham, uda się — naraz z przekonaniem i szczerze rzekł Rokk — promień pański jest tak znakomity, że choćby słonie można hodować, nie tylko kurczęta.

— Wie pan co — mówił Piersikow: pan nie jest zoologiem? nie?... szkoda... z pana byłby bardzo śmiały eksperymentator... Tak... tylko pan ryzykuje... zyskać niepowodzenie... i tylko mnie zabiera pan czas...

— My panu zwrócimy kamerę. Co znaczy?

— Kiedy?...

— A ot, kiedy wywiodeę pierwszą partię.

— Z jaką pewnością pan to mówi! Dobrze.
Pankrat!...

— Mam z sobą ludzi — rzekł Rokk — i ochronę...

Do wieczora gabinet Piersikowa osierociał... Opustoszały stoły. Ludzie Rokka wywieźli trzy wielkie kamery, pozostawiając profesorowi tylko pierwszą, malutką, z którą rozpoczynał doświadczenia.

Nadchodził zmierzch lipcowy, szarzyzna ogar-
nęła instytut, popłynęła przez korytarze. W ga-
biniecie słychać było monotonne kroki — to
Piersikow, nie zapalając światła, mierzył wielki
pokój od okna do drzwi... Dziwna rzecz: tego
wieczoru trudno do objaśnienia tęskny nastrój
ogarnął ludzi, zamieszkujących instytut i zwie-
rzęta. Żaby nie wiadomo dlaczego wszczęły tę-
skny koncert i rechotały złowieszczo i ostrze-
gająco. Pankrat musiał łapać węża, który uciekł
ze swojej klatki, i kiedy go złapał, mina węża
była taka zupełnie, jakby ten zamierzał uciekać
gdzie oczy poniosą, byle tylko uciec.

O późnym zmierzchu zadźwięczał dzwonek
z gabinetu Piersikowa. Pankrat ukazał się na
progu. I zobaczył dziwny obraz. Uczony stał
samotnie pośrodku gabinetu i patrzył na stoły.
Pankrat zakasłał i stał nieruchomo.

— Oto, Pankrat — rzekł Piersikow i wska-
zał na opustoszały stół.

Pankrat przestraszył się. Wydało mu się, że
oczy profesora w mroku były zapłakane. Było
to tak niezwykle, tak straszne.

— Tak jest — płacząco odpowiedział Pankrat i pomyślał: „Lepiej byś ty już nawrzeszczał na mnie!”

— Ot — powtórzył Piersikow i usta jego drgnęły, zupełnie jak dziecku, któremu zabrano bez żadnego powodu ulubioną zabawkę.

— Ty wiesz, Pankrat — ciągnął dalej Piersikow, odwracając się do okna — żona moja, która wyjechała przed piętnastu laty, do operetki wstąpiła, a teraz, jak się okazuje, umarła... Oto historia, drogi Pankrat... List mi przysłali...

Żaby krzyczały żałośliwie i zmierzch otulał profesora, oto ona... noc... Moskwa... gdzieś jakieś białe kule za oknami zapłonęły... Pankrat, straciwszy głowę, smucił się, stał ze strachu na baczność!...

— Idź, Pankrat — ciężko wyrzekł profesor i skinął ręką — kładź się spać, drogi, gołąbku, Pankrat.

I zapadła noc. Pankrat wybiegł z gabinetu dłaczegoś na palcach, przybiegł do swojej komórki, rozrzucił gałgany w kącie, wyciągnął

spod nich napoczętą butelkę ruskiej gorzkiej i od razu wychylił prawie pełną szklankę od herbaty. Zakąsił chlebem z solą, i oczy jego cokolwiek poweselały.

Późnym wieczorem, już prawie pod północ, Pankrat, siedząc na ławce w skąpo oświetlonym westybulu, mówił do nieśpiącego melonika, drapiąc się w pierś pod perkalową koszulą.

— Lepiej by zabił, jak Bo...

— Czyżbyż płakał? — z ciekawością dopytywał się melonik.

— Jak... Bo... — zapewniał Pankrat.

— Wielki uczony — zgodził się melonik — wiadomo, żabą żony nie zastąpi.

— W żaden sposób — zgodził się Pankrat.

Pomyślał potem i dodał:

— Ja swoją babę myślę sprowadzić tutaj... Po co ma, w samej rzeczy, na wsi siedzieć... Tylko że ona w żaden sposób tych gadów znieść nie może...

— Co tam mówić, obrzydliwość straszliwa — zgodził się melonik.

Z gabinetu uczonego nie było słycać ani dźwięku. I światła w nim nie było. Nie było smużki pod drzwiami.

ROZDZIAŁ VIII. HISTORIA W SOW- CHOZIE⁷¹

Stanowczo nie ma piękniejszego czasu, niż dojrzewający sierpień chociażby w smoleńskiej guberni. Lato 1928 roku było, jak wiadomo, wspaniałe, z deszczami na wiosnę w porę, z pełnym upalnym słońcem, z wspaniałym urodzajem.. Jabłka w byłych dobrach Szeremietewych dojrzewały... lasy zieleniały, żółtymi kwadratami słały się pola... Człowiek lepszym się staje na łonie natury. I nie tak już nieprzyjemnym wydałby się Aleksander Siemienowicz, jak w mieście. I kurtki wstrętnej nie miał na sobie. Twarz jego była opalona na miedziano, perkalowa rozpięta koszula ukazywała pierś, porosłą najgęściejszymi czarnymi włosami, na nogach miał płócienne spodnie. I oczy jego uspokoiły się i stały się dobrymi.

⁷¹sowchoz — państwowe gospodarstwo rolne w ZSRR. [przypis edytorski]

Aleksander Siemienowicz z ożywieniem zbiegł z ganku z kolumnami, nad którym przybity był szyld pod gwiazdą:

Sowchoz „Czerwony Promień”.

i prosto do samochodu półciężarowego, który przywiózł pod ochroną trzy czarne kamery.

Cały dzień Aleksander Siemienowicz krzątał się ze swoimi pomocnikami, ustawiając kamery w byłym ogrodzie zimowym — oranżerii Szeremietiewych... Do wieczora wszystko było gotowe. Pod szklannym sufitem zapłonęła biała matowa kula, na cegłach ustawiano kamery, i mechanik, który przyjechał z kamerami, postukawszy i pokręciwszy błyszczące gwinty, zapalił na azbestowej podłodze w czarnych skrzynkach czerwony tajemniczy promień.

Aleksander Siemienowicz krzątał się, sam wchodził na drabiny, sprawdzając przewodniki.

Następnego dnia powrócił ze stacji ten sam samochód półciężarowy i wypluł trzy skrzynki,

z wspaniałych gładkich dykt, wokoło oklejone etykietami i białymi na czarnym tle napisami:

— *Vorsicht: Eier*⁷² !!

— Ostrożnie: jajka!

— Cóż tak mało przysłali? — zdziwił się Aleksander Siemienowicz, jednakże natychmiast zakrzętał się i zaczął rozpakowywać jajka. Rozpakowywanie odbywało się wciąż w tej samej oranżerii i brali w nim udział: sam Aleksander Siemienowicz, jego niezwyklej grubości żona, Mania, kulawy były ogrodnik byłych Szeremietiewych, a obecnie służący w sowchozie na uniwersalnym stanowisku stróża, dozorca, skazany na mieszkanie w sowchozie, i pokojówka Dunia. To nie Moskwa, i wszystko tu nosiło bardziej prosty, rodzinny i przyjacielski charakter. Aleksander Siemienowicz wydawał polecenia, z miłością spoglądał na skrzynki, wyglądające jak jakiś solidny, poważny prezent, pod delikatnym światłem zachodu, wpadającym przez górne szyby oranżerii. Wartownik, karabin którego spokojnie drzemał przy drzwiach,

⁷²*Vorsicht: Eier* (niem.) — ostrożnie: jajka! [przypis edytorski]

obcęgami wyłamywał wzmocnienia i metalowe obicia. Panował trzask... Sypał się kurz. Aleksander Siemienowicz, człapiąc sandałami, krzątał się około skrzynek.

— Wy ostrożnie, proszę bardzo — mówił wartownikowi: ostrożniej. Cóż to, nie widzicie — jajka?

— Niczego. — chrypiał rycerz powiatowy, wiercąc dziurę: zaraz...

— Pr-r-r... i sypał się pył.

Jajka okazały się zapakowanymi znakomicie: pod pokrywą drewnianą była warstwa parafinowego papieru, potem bibuły, potem następowała ścisła warstwa wiórków, potem trociny i w nich błyszcząły białe główki jajek.

— Zagraniczne opakowanie — miłośnie mówił Aleksander Siemienowicz, ryjąc się w trocinach: to nie tak, jak u nas. — Mania, ostrożnie, ty je potłuczysz...

— Tyś, Aleksandrze Siemienowiczu, zgłupiał — odpowiedziała żona: jakie złoto, pomyślisz. Cóż to, ja nigdy jajek nie widziałam?... Oj!... jakie wielkie!

— Zagranica — mówił Aleksander Siemienowicz, wykładając jajka na stół drewniany: czyż to nasze chłopskie jajka... Wszystkie prawdopodobnie bramaputry⁷³, niech diabli je wezmą! niemieckie!...

— Wiadoma rzecz — potwierdzał wartownik, z zachwytem patrząc na jajka.

— Tylko nie rozumiem, dlaczego są brudne — mówił w zamyśleniu Aleksander Siemienowicz: Mania, ty dopilnuj. Niechaj dalej wykładują, a ja idę do telefonu.

I Aleksander Siemienowicz udał się do telefonu do kantoru sowchozu przez podwórze.

Wieczorem w gabinecie instytutu zoologicznego zatrzeszczał telefon. Profesor Piersikow nastroszył włosy i podszedł do aparatu.

— No? — spytał.

— Z wami zaraz mówić będzie prowincja — cicho z syczeniem odezwała się słuchawka niewieścim głosem.

— No, słucham — z wstrętem spytał Piersikow czarnej paszczy telefonu... W tym coś za-

⁷³*bramaputra* — pochodząca z Azji rasa kur. [przypis edytorski]

trzeszczało, a potem daleki głos męski rzekł do ucha niespokojnie:

— Czy myć jajka, profesorze?...

— Co takiego? Co? O co pan pyta? — rozdrażniał się Piersikow: skąd mówią?...

— Z Nikolskiego, smoleńskiej guberni — odpowiedziała słuchawka.

— Nic nie rozumiem. Żadnego Nikolskiego nie znam. Kto tam?...

— Rokk — surowo rzekła słuchawka.

— Jaki Rokk? — Ach, tak... to pan... więc o co pan pyta?

— Czy myć je?... Przysłali mi z zagranicy partię kurzych jajek...

— No?...

—...A one są jakoś zabłocone...

— Co pan płacze... Jakżeż one mogą być „zabłocone”, jak się pan wyraża? No, rozumie się, być może trochę... pomiot⁷⁴ przysechł... lub cośkolwiek jeszcze...

— Więc nie myć?...

⁷⁴pomiot (daw.) — zwierzęce odchody. [przypis edytorski]

— Rozumie się, nie potrzeba... Pan co, chce już ładować kamery jajkami?...

— Ładuję. Tak — odpowiedziała słuchawka.

— Hm — mruknął Piersikow.

— Tymczasem — jęknęła słuchawka i umilkła. — „Tymczasem” — z nienawiścią powtórzył Piersikow prywat-docentowi Iwanowowi: jak się panu podoba ten typ, Piotrze Stiepanowiczu?

Iwanow roześmiał się.

— To on? Wyobrażam sobie, co on tam napiecze z tych jajek.

— T... t... t... — przemówił Piersikow nienawistnie: niech pan wyobrazi sobie, Piotrze Stiepanowiczu... no, pięknie... bardzo możebne, że na deuteroplazmę jajek kurzych promień okaże takie same działanie, jak i na plazmę gołych. Bardzo możebne, że kury wyklują się u niego. Lecz przecież ani pan, ani ja, nie możemy powiedzieć, jakie te kury będą... być może te kury diabła będą warte. Być może zdechną po dwóch dniach. Być może jeść ich nie będzie

można!... A czyż ja mogę ręczyć, że stać będą na nogach? Być może kości ich będą kruche. — Piersikow zahazardował się i machał dłonią i wyginał palce.

— Zupełna prawda — zgodził się Iwanow.

— Czy pan może zaręczyć, Piotrze Stiepanowiczu, że one dadzą pokolenie?... Być może ten typ wywiedzie specjalne kury. Doprowadzi je do wielkości psa, a potomstwa od nich czekaj aż do końca świata.

— Nie można ręczyć — zgodził się Iwanow.

— I jaka bezceremonialność — podniecał coraz bardziej sam siebie Piersikow: i szybkość jaka!... I, przecież niech pan zauważy, że polecono mi udzielić mu instrukcji. — Piersikow wskazał na papier, dostarczony przez Rokka (przewracał się na stole eksperymentalnym), a jakżeż ja będę udzielać temu nieukowi instrukcji, kiedy sam w tej kwestii nic powiedzieć nie mogę.

— A odmówić nie było można? — spytał Iwanow.

Piersikow zarumienił się, wziął papier i pokazał go Iwanowowi. Ten przeczytał go i iro-
nicznie uśmiechnął się.

— No tak — rzekł wieloznacząco⁷⁵.

— I, przecież, niech pan zauważy... Ja na swoje zamówienie czekam dwa miesiące, i ani słuchu, ani ducha. A temu momentalnie i jajka przysłali i w ogóle wszelkimi sposobami pomagają.

— Ani diabeł z tego u niego nie wyjdzie, Włodzimierz Ipatiewiczu. I po prostu skończy się tym, że zwrócą nam nasze kamery.

— I żeby jak najprędzej, a to przecież one moje doświadczenia wstrzymują.

— Tak, to źle. Ja mam wszystko gotowe.

— Skafandry pan otrzymał?

Piersikow cokolwiek uspokoił się i ożywił.

— Uhu... myślę, że tak zrobimy. Drzwi do sali doświadczeń na noc zamknąć, a okno otworzymy...

— Rozumie się — zgodził się Iwanow.

— Trzy hełmy?

⁷⁵wieloznacząco — dziś popr.: wieloznacznie. [przypis edytorski]

— Trzy. Tak.

— No, więc... Pan, znaczy się, ja i jeszcze któregośkolwiek ze studentów można zawezwać. Damy mu trzeci hełm.

— Grünmutha można.

— To ten, który obecnie u nas nad salamandrami pracuje?... hm... on niczego... choć, pozwoli pan, wiosną nie mógł powiedzieć, jak urządzony jest pęcherzyk pływacki u gołozębnych — złośliwie dodał profesor.

— Nie, on niczego... Dobry student — stanął w obronie tegoż Iwanow.

— Trzeba będzie już nie spać jedną noc — ciągnął dalej Piersikow: tylko oto co, Piotrze Stiepanowiczu, niech pan sprawdzi gaz, a to diabli ich wiedzą, te ich dobrochimy. Przyślą jakąś tam obrzydliwość.

— Nie, nie — i Iwanow zaczął machać rękoma — wczoraj już wypróbowałem. Trzeba oddać im sprawiedliwość, Włodzimierzu Ipatiewiczu, znakomity gaz.

— Pan na kim próbował?

— Na zwykłych żabach. Puścisz strumyczek — momentalnie zdychają. Tak, Włodzimierzu Ipatiewiczu, my jeszcze tak zrobimy. Napisze pan wniosek do Gepeu, ażeby nam przysłali rewolwer elektryczny.

— Lecz ja nie umiem z nim się obchodzić.

— Biorę to na siebie — odpowiedział Iwanow: my na Kłaźmie z niego strzelaliśmy, dla żartów... tam jeden gepeur obok mnie mieszkał... Ciekawa bardzo sztuka. I po prostu nadzwyczajnie... Bije bez hałasu, na sto kroków i na miejscu. Myśmy do wron strzelali... Według mnie nawet i gazu nie potrzeba...

— Hm... — to dowcipny pomysł... Bardzo — Piersikow poszedł do kąta, wziął słuchawkę i zakwakał:

— Proszę mnie połączyć z tą, jak ją... Łubianką...

*

Nastały dni upalne nie do wytrzymania. Nad polami widać było wyraźnie, jak włóczył się nad nimi przezroczysty, potężny upał. A no-

ce cudne, wabiące, zielone. Księżyc świecił i takim czarem piękności otoczył byłe dobra Szeremetiewych, że trudno to wyrazić słowami. Pałac-sowchoz, zupełnie jak z cukru, błyszczał, w parku drżały cienie, a stawy stały się dwubarwnymi do połowy — ukosem słup księżycowy, a połowa bezdenny mrok. W plamach księżycy można było zupełnie swobodnie czytać „Izwestia”, z wyjątkiem działu szachowego, złożonego drobnym nonparelem⁷⁶. Lecz w takie noce nikt „Izwestii”, rzecz zrozumiała, nie czytał... Dunia pokojówka znalazła się w gaju za sowchozem i tamże znalazł się, zupełnie wypadkowo⁷⁷, rudowąsy szofer zrujnowanej półciązarówki sowchozu. Co oni tam robili — nie wiadomo. Przytulili się w nietrwałym cieniu wiązu, wprost na rozesłanym palcie szofera. W kuchni płonęła lampeczka, tam jedli kolację dwaj ogrodnicy, a madame Rokk w białym szlafroku siedziała na kolumnowej

⁷⁶*nonparel* — drobna czcionka o stopniu pisma równym sześciu punktom typograficznym. [przypis edytorski]

⁷⁷*wypadkowo* — przypadkowo. [przypis edytorski]

werandzie i marzyła, patrząc na precudny księżyc.

O godz. 10 wieczorem, kiedy umilkły odgłosy we wsi Koncewkie, położonej za sowchozem, idylliczny pejzaż rozbrzmiał cudownymi czułymi dźwiękami fletu. Niepodobna wyrazić, do jakiego stopnia były one na miejscu nad gajami i byłymi kolumnami pałacu Szeremietiewych. Wątku Liza z *Damy Pikowej*⁷⁸ połączyła w duecie głos swój z głosem namiętnej Poliny, i wzniosła się na wyżyny księżycowe, jak widziadło starego i mimo to bezgranicznie miłego, do łez czarującego *régime'u*⁷⁹.

Gasną... Gasną...

gwizdał, sypiąc trele i wzdychając, flet.

Zamarły gaje i Dunia, gibka, jak rusałka leśna, słuchała, przyłożywszy policzek do szorstkiego, rudego i męskiego policzka szofera.

⁷⁸*Dama Pikowa* — opera Piotra Czajkowskiego z 1890 r. [przypis edytorski]

⁷⁹*régime* (fr.) — ustrój. [przypis edytorski]

— A dobrze dudli⁸⁰, suczy syn — rzekł szofer, obejmując Dunię w pasie męską ręką.

Grał na flecie sam zarządzający sowchozu Aleksander Siemienowicz Rokk, i grał, należy oddać mu sprawiedliwość, znakomicie. Rzecz w tym, że niegdyś flet był specjalnością Aleksandra Siemienowicza. Wręcz do r. 1917 pracował on w znanym zespole koncertowym maestro Pietuchowa, co wieczór zappełniającym cudownymi dźwiękami foyer⁸¹ przytulnego kinematografu „Czarodziejskie marzenia” w mieście Ekateririodarze. Lecz wielki 1917 rok⁸², który złamał karierę wielu ludzi, i Aleksandra Siemienowicza poprowadził nowymi drogami. Porzucił „Czarodziejskie marzenia” i zapyłoną gwieździstą satynę w foyer i rzucił się w otwarte morze wojny i rewolucji, zamieniwszy flet na zabójczy mauzer. Długo rzucało go po falach, niejednokrotnie wyrzucając to na Krymie, to w Moskwie, to w Turkestanie, to nawet we Wła-

⁸⁰dudlić (reg.) — grać, zwł. na instrumencie dętym. [przypis edytorski]

⁸¹foyer — pomieszczenie obok sali teatralnej, gdzie publiczność zbiera się podczas przerw w spektaklu. [przypis edytorski]

⁸²wielki 1917 rok — rok Rewolucji Październikowej. [przypis edytorski]

dywostoku. Potrzebna była właśnie rewolucja, ażeby w zupełności ujawnić Aleksandra Siemienowicza. Wyjaśniło się, że ten człowiek stanowczo jest wielki, i, rozumie się, nie jest dla niego miejscem odpowiednim foyer „Marzeń”. Nie wdając się w długie szczegóły, powiemy, że koniec 1927 i początek 1928 r. zastały Aleksandra Siemienowicza w Turkiestanie, gdzie on, po pierwsze, redagował olbrzymią gazetę, a potem, jako miejscowy członek wyższej komisji gospodarczej, zasłynął swoimi zdumiewającymi pracami przy nawodnieniu kraju turkiestańskiego. W r. 1928 Rokk przybył do Moskwy i otrzymał w zupełności zasłużony odpoczynek. Wyższa komisja tej organizacji, której bilet z honorem nosił w kieszeni człowiek prowincjonalnie staromodny, oceniła go i mianowała na stanowisko spokojne i zaszczytne. Och! Och! Na nieszczęście republiki wrzący mózg Aleksandra Siemienowicza nie ugasł, w Moskwie Rokk zetknął się z wynalazkiem Piersikowa i w zajeździe na Twerskiej „Czerwony Paryż” narodziła się u Aleksandra Siemienowicza

idea, jak przy pomocy promienia Piersikowa odrodzić w przeciągu miesiąca kury w republice. Wysłuchano Rokka w komisji hodowli zwierząt, zgodzono się z nim i Rokka przyszedł z masywnym papierem do dziwaka zoologa.

Koncert nad szklannymi wodami i gajami i parkiem zbliżał się już ku końcowi, gdy naraz zaszło coś, co przerwało go znacznie wcześniej. Właśnie w Koncowkie psy, którym zgodnie z czasem należało już spać, wszczęły naraz trudne do zniesienia ujadanie, które stopniowo przeszło w ogólne męczące wycie. Wycie, potęgując się, poleciało przez pola i wyciu naraz odpowiedział potężny milionogłosy koncert żab w stawach. Wszystko to było tak przykre, że wydało się na chwilę, jakby zmierzchła tajemnicza czarodziejska noc.

Aleksander Siemienowicz przestał grać na flecie i wyszedł na werandę.

— Mania. Słyszysz? Ot, przekłete psy... Czego one, jak myślisz, się wściekają?

— Skąd ja mam wiedzieć? — odrzekła Mania, patrząc na księżyc.

— Wiesz, Manieczka, pójdziemy, popatrzymy na jajeczka — zaproponował Aleksander Siemienowicz.

— Jak Boga kocham, Aleksander Siemienowicz, tyś zupełnie obłądu dostał ze swoimi jajeczkami i kurami. Odpocznij cokolwiek!

— Nie, Manieczka, pójdziemy.

W oranżerii płonęła jaskrawa kula. Przyszła i Dunia z płonącą twarzą i błyszczącymi oczyma. Aleksander Siemienowicz delikatnie otworzył szkła kontrolujące i wszyscy zaczęli zaglądać wewnątrz kamer. Na białej azbestowej podłodze leżały prawidłowymi szeregami oznaczone plamami jaskrawoczerwone jajka, w kamerach było głucho... a kula w górze o 15.000 świec cicho syczała...

— Eh, wywiodeę ja kurczęta! — z entuzjazmem mówił Aleksander Siemienowicz, zaglądając to z boku przez otwory kontrolujące, to z góry, przez szerokie otwory wentylacyjne: — oto zobaczcie... Co? Nie wywiodeę?...

— A wy wiecie, Aleksander Siemienowicz — rzekła Dunia z uśmiechem: chłopci w Kon-

cowkie mówili, że wy jesteście antychrystem. Mówią, że wasze jaja diabelskie. Grzech maszyną wywodzić. Zabić was chcieli.

Aleksander Siemienowicz drgnął i odwrócił się ku żonie. Twarz jego pożółkła.

— No, co wy powiecie? Oto naród! No, co wy zrobicie z takim narodem? Co? Manieczka, trzeba będzie zebranie im urządzać... Zawezwę jutro z powiatu robotników. Sam do nich wygłoszę mowę. Trzeba będzie w ogóle tu popracować... A to ci jakiś niedźwiedzi zakątek...

— Ciemnota — mówił wartownik, rozciągając się na swoim szynelu⁸³ przy drzwiach oranżerii.

Następny dzień zaznaczył się najdziwniejszymi i wprost nieobjaśnionymi wypadkami. Rano, przy pierwszym blasku słońca, gaje, które witały zazwyczaj światłość dzienną niemilkającym i potężnym szczebiotaniem ptaków, powitały ją zupełnym milczeniem. Było to zauważone stanowczo przez wszystkich. Zupełnie jak

⁸³szynel — rodzaj męskiego płaszcza, noszony przez rosyjskich i radzieckich żołnierzy oraz urzędników. [przypis edytorski]

przed burzą. Żadnej jednak burzy nawet i wi-
dać nie było. Rozmowy w sowchozie przybra-
ły dziwny i dwuznaczny dla Aleksandra Sie-
mienowicza odcień i w szczególności dlatego,
że według słów diadi, przezwiskiem Kozi Gar-
dziel, znanego plotkarza i mędrca z Koncowki,
stało się wiadomym, że jakoby wszystkie ptaki
zebrały się na łąkach i o świcie uciekły gdzieś
z Szeremietiewa precz, na północ, co było po-
prostu głupie. Aleksander Siemienowicz zde-
nerwował się bardzo i cały dzień stracił na to,
ażeby porozumieć się telefonicznie z miastem
Greczewką. Stamtąd obiecali Aleksandrowi Sie-
mienowiczowi przysłać za dwa dni mówców na
dwa tematy: sytuacja międzynarodowa i kwe-
stia Dobrokura.

Wieczór również nie był bez niespodzia-
nek. Jeżeli rankiem zamilkły gaje, wykazując
zupełnie wyraźnie, jak podejrzenie — nieprzy-
jemną jest cisza wśród drzew, jeżeli w połu-
dnie uciekły gdzieś wróble z podwórza sowcho-
zu, to pod wieczór umilkł staw w Szeremie-

tiewkie. Było to w istocie zdumiewające, gdyż wszystkim w okolicy na czterdzieści wiorst⁸⁴ było świetnie znane znakomite rechotanie żab szermietiewskich. A teraz zupełnie jakby wymarły. Od stawu nie dobiegał ani jeden głos i bezdźwięcznie stała osoba. Należy przyznać, że Aleksander Siemienowicz ostatecznie się zde-nerwował. O tych zajściach zaczęli rozprawiać, i to w sposób najbardziej nieprzyjemny, to jest za plecami Aleksandra Siemienowicza.

— Rzeczywiście, to dziwne — rzekł przy obiedzie Aleksander Siemienowicz do żony — nie mogę zrozumieć, dlaczego tym ptakom spodobło się ulecieć?

— A skądże ja mam wiedzieć? — odpowiedziała Mania: być może przed twoim promieniem?

— No, z ciebie, Mania, najzwyczajniejszy głuptas — odpowiedział Aleksander Siemienowicz, rzucając łyżkę — tyś — jak chłopci. Co ma z tym wspólnego promień?

— A ja nie wiem. Daj mi święty spokój.

⁸⁴wiorsta — daw. rosyjska miara długości, 1,0668 km. [przypis edytorski]

Wieczorem zaszła trzecia niespodzianka — znów zaczęły wyc psy w Koncowkie i jeszcze jak! Nad zalanymi światłem księżycą polami panował nieprzerywny jęk, złowieszcze tęskne jęczenia.

Wynagrodził sobie cokolwiek Aleksander Siemienowicz jeszcze niespodzianką, lecz już przyjemną, a mianowicie w oranżerii. W kamerach dało się słyszeć nieustanne stukanie w czerwonych jajach. Toki... toki... toki... toki.. stukano to w jednym, to w drugim, to w trzecim jajku.

Stuk w jajkach był stukiem tryumfalnym dla Aleksandra Siemienowicza. Natychmiast zostały zapomniane dziwne wypadki w gaju i na stawie. Zeszli się wszyscy w oranżerii: i Mania, i Dunia, i stróż, i wartownik, który zostawił karabin przy drzwiach.

— No, co? Co wy powiecie? — zwycięsko dopytywał się Aleksander Siemienowicz. Wszyscy z ciekawością przykładali uszy do drzwi-
czek pierwszej kamery: to one dziobami stukają, kurczęta — ciągnął dalej, promieniejąc,

Aleksander Siemienowicz: nie wywiodeę kurczątek, powiecie? Nie, drodzy moi. — I z nadmiaru wrażeń poklepał wartownika po ramieniu. — Wywiodeę takie, że aż krzykniecie. Teraz tylko bacznie pilnować trzeba — dodał surowo: — ledwie tylko zaczną się wykluwać, zaraz mi dacie znać.

— Dobrze — odrzekli chórem stróż, Duna i wartownik.

Toki.. toki... toki... kipiało to w jednym, to w drugim jajku pierwszej kamery. Rzeczywiście, obraz w oczach prawie rodzącego się nowego życia w cienkiej przeświecającej skorupce był o tyle ciekawy, że całe towarzystwo jeszcze długo przesiedziało na przewróconych pustych skrzyniach, patrząc, jak w zagadkowym zmierzchającym się świetle dojrzewały malinowe jaja. Rozeszli się na spoczynek dość późno, kiedy nad sowchozem i okolicami roztaczała się zielonkawa noc. Była ona zagadkową i nawet, można powiedzieć, straszną, prawdopodobnie dlatego, że naruszało zupełne jej milczenie zaczynające się bez najmniejszego powodu naj-

żałośliwsze i przejmujące wycie psów w Koncowkie. Dlaczego się wściekały przeklęte psy — zupełnie nie wiadomo.

Rankiem oczekiwała Aleksandra Siemienowicza nieprzyjemność. Wartownik był krańcowo skonfundowany⁸⁵, ręce przykładał do serca, zaklinał się i przysięgał, że nie spał, że nic nie zauważył.

— Niezrozumiała sprawa — zapewnił wartownik — jam tu nic nie winien, towarzysz Rokk⁸⁶.

— Dziękuję wam, i z całej duszy wdzięczny jestem — wymyślał mu Aleksander Siemienowicz: cóż wy, towarzyszu, myślicie? Na co was tu postawili? Patrzyć. Więc wy mi powiedzcie, gdzie się one podziały? Wszak wykluły się one? Znaczy się, uciekły. Znaczy się, pozostawiliście drzwi otwarte i sami poszliście sobie. Ażeby były mi kurczęta.

— Nie mam gdzie chodzić. Cóż to, ja swoich obowiązków nie znam — obraził się wresz-

⁸⁵skonfundowany (daw.) — zakłopotany, zawstydzony. [przypis edytorski]

⁸⁶towarzysz Rokk — rusycyzm: mianownik użyty w roli wołacza. [przypis edytorski]

cie rycerz: cóż wy mi wymawiacie bez powodu, towarzyszu Rokk!

— Gdzie się więc one podziały?

— A i skąd mam wiedzieć — wściekł się w końcu rycerz — cóż ja je dopilnuję? Na co jestem postawiony. Patrząc, ażeby kamery kto nie ukradł, ja też i wypełniam swój obowiązek. Oto macie kamery. A łapać wasze kurczęta nie jestem obowiązany według prawa. Kto tam wie, jakie to kurczęta u was się wyklują, być może na rowerze ich nie dopędzisz!

Aleksander Siemienowicz cokolwiek zaciął się, pomruczał jeszcze coś i wpadł w stan zdumienia. Sprawa cała w samej rzeczy była dziwna. W pierwszej kamerze, którą naładowano wcześniej od innych, dwa jajka, umieszczone u samej podstawy promienia, okazały się rozbitymi. I jedno z nich nawet odtoczyło się na bok. Skorupka przewracała się na azbestowej podłodze w promieniu.

— Diabli ich wiedzą — mrucał Aleksander Siemienowicz — i okna zamknięte, nie przez dach przecież uleciały!

Zadarł głowę do góry i popatrzał tam, gdzie w szklanej oprawie dachu było kilka szerokich dziur.

— Co wy, Aleksander Siemienowiczu — zdumiała się wielce Dunia — będą tam wam kurczęta latać. One tu są gdziekolwiek... cip... cip... cip... — zaczęła wołać i zaglądać do kątów oranżerii, gdzie stały zakurzone wazony od kwiatów, jakieś deski i rupiecie. Lecz żadne kurczęta znikąd się nie odezwały.

Cały skład służby przez dwie godziny biegał po podwórzu sochwozu, poszukując zmyślnych kurcząt, i nigdzie nic nie znalazł. Dzień minął w ostatecznym podnieceniu. Warta przy kamerach została powiększona jeszcze przez stróża i temu wydane zostało najsurowsze polecenie co kwadrans zaglądać przez okna kamer i, byle co, wołać Aleksandra Siemienowicza. Wartownik siedział nachmurzony przy drzwiach, trzymając karabin między kolanami. Aleksander Siemienowicz tak był pochłonięty kłopotami, że dopiero o godz. drugiej jadł obiad. Po obiedzie przespał się godzinę w chłodnym cieniu na

byłej otomance Szeremietiewa, napił się sowy-
chozowego kwasu cukrowego, poszedł do oran-
żerii i przekonał się, że teraz tam wszystko jest
w zupełnym porządku. Starzec — stróż leżał
brzuchem na rogoży⁸⁷ i mrugając patrzył przez
szkło kontrolujące pierwszej kamery. Wartow-
nik czuwał, nie odchodząc od drzwi.

Lecz były i nowości: jajka w trzeciej kame-
rze, naładowane później od innych, zaczęły ja-
koś cmoktać i cokać, jakby wewnątrz nich ktoś
tkał.

— Uch, dojrzewają — rzekł Aleksander
Siemienowicz — ot to dojrzewają, teraz widzę.
Widziałeś? — zwrócił się do stróża.

— Tak, rzecz godna uwagi — odpowie-
dział ten, kiwając głową i zupełnie dwuznacz-
nym tonem.

Aleksander Siemienowicz posiedział trochę
przy kamerach, lecz przy nim nic się nie wy-
kluło, wstał z kucek, wyprostował się i oznaj-
mił, że z folwarku nigdzie nie odchodzi, a tyl-
ko przejdzie do stawu wykąpać się i żeby go,

⁸⁷rogoża (daw.) — mata upleciona z sitowia bądź lyka. [przypis edytorski]

w razie czegoś, natychmiast zawezwano. Po-
biegł do pałacu do sypialni, gdzie stały dwa wą-
skie łóżka sprężynowe ze zmiętoszoną pościelą,
i na podłodze nawalone były stosy zielonych ja-
błek i góry prosa, przygotowanego na pokarm
dla przyszłych kurcząt, uzbroił się w przeście-
radło włochate, i, po krótkim namyśle, zabrał
z sobą i flet na to, ażeby korzystając z wolnego
czasu pograć nad zwierciadlaną wodą. Rześko
wybiegł z pałacu, przeciął podwórze sochwo-
zu i przez aleję wierzbową skierował się do sta-
wu. Rześko szedł Rokk, wymachując przeście-
radłem i trzymając flet pod pachą. Niebo paliło
upałem przez wierzby i ciało tęskniło i prosi-
ło się do wody. Po prawej ręce Rokka zaczę-
ła się gęstwina łopuchów, w którą on, prze-
chodząc, splunął. I natychmiast w głębinach
rozłożystej płataniny ich dał się słyszeć szmer,
jakby ktoś włókł belkę. Poczawszy mimowol-
ne ssanie w sercu, Aleksander Siemienowicz
odwrócił głowę w stronę zarośli i popatrzał ze
zdumieniem. Staw już od dwóch dni nie od-
zywał się żadnymi dźwiękami. Szmer ucichł,

przez powierzchnię łopuchów błysnęła nęcąco zwierciadło stawu i szary dach łazienki. Kilka łątek⁸⁸ mignęło przed Aleksandrem Siemienowiczem. Chciał już zawrócić do drewnianych mostków, gdy naraz szelest w zieleni powtórzył się i przyłączyło się do niego krótkie syczenie, jakby wyciekała oliwa i para z parowozu. Aleksander Siemienowicz zaczął nasłuchiwać bacznie i począł wpatrywać się w głułą ścianę zaśmieconych zarośli.

— Aleksandrze Siemienowiczu — rozległ się w tejże chwili głos żony Rokka, i biały jej kaftanik mignął, skrył się, lecz znów — mignął w malinach: poczekaj, pójdę też do kąpieli.

Żona podążała do stawu, lecz Aleksander Siemienowicz nic jej nie odpowiedział, cały przykuty do łopuchów. Szarawa i oliwkowa belka zaczęła podnosić się z ich gęstwiny, rosnąc w oczach. Jakieś mokre żółtawe plamy, jak się wydało Aleksandrowi Siemienowiczowi, pstrzyły belkę. Zaczęła wyciągać się, wyginając i po-

⁸⁸łątka — zielonkawy lub niebieskawy owad żyjący przy brzegu wód. [przypis edytorski]

ruszając się, i wyciągnęła się tak wysoko, że przewyższyła niziutką pokręconą wierzbę... Potem szczyt belki załamał się, cokolwiek pochylił i nad Aleksandrem Siemienowiczem okazało się coś przypominającego wysokością moskiewski słup elektryczny. Lecz tylko to coś było trzykrotnie grubsze od słupa, i znacznie piękniejsze od niego, dzięki tatuowanej łusce. Nic jeszcze nie rozumiejąc, lecz już drętwiąc, Aleksander Siemienowicz spojrział na górę straszliwego słupa i serce jego zatrzymało na kilka sekund swoje bicie. Wydało mu się, że mróz zapanował nagle w dzień sierpniowy, a przed oczami zapanował taki zmierzch, zupełnie jakby patrzył na słońce przez letnie spodnie.

Na górnym końcu belki okazała się głowa. Była spłaszczona, zaostzona i ozdobiona żółtą okrągłą plamą na tle oliwkowym. Pozbawione powiek, rozwarte, lodowate i wąskie oczy siedziały na szczycie głowy i w oczach tych błyszczała nigdy niewidziana nienawiść. Głowa zrobiła taki ruch, zupełnie jakby chwytiała powietrze, cały słup wciągnął się między łopuchy, i tyl-

ko jedne oczy pozostały i, bez zmrużenia, patrzyły na Aleksandra Siemienowicza. Ten, okryty lepkiem potem, wygłosił cztery słowa, zupełnie nieprawdopodobne i wywołane doprowadzającym do szału przerażeniem. Na tyle już cudne były te oczy między liśćmi.

— Co to za żarty...

Przypomniało mu się potem, że fakirzy⁸⁹... tak... tak... Indie... pleciony koszyk i obrazek... Zaklinają...

Głowa znów się wzniosła i zaczął wychodzić i tułów. Aleksander Siemienowicz podniósł flet do ust, ochryple pisnął i zagrał, co chwila się dławiąc, walca z *Eugeniusza Onegina*⁹⁰. Oczy w zieleni natychmiast zapłonęły nieubłaganą nienawiścią dla tej opery.

— Coś ty oszalał, że grasz na upale? — dał się słyszeć wesoły głos Mani, i gdzieś brzeżkiem oka z prawej strony schwytał Aleksander Siemienowicz białą plamę.

⁸⁹*fakir* — indyjski asceta. [przypis edytorski]

⁹⁰*Eugeniusz Onegin* — opera Piotra Czajkowskiego z 1879 r., o libretcie opartym na poemacie Aleksandra Puszkina pod tym samym tytułem. [przypis edytorski]

Potem przeraźliwy pisk przeniknął cały sowchoz, rozrósł się i wzniósł, a walc zaskakał, jak ze złamaną nogą. Głowa z zieleni szarpnęła się naprzód, oczy jej porzuciły Aleksandra Siemienowicza, zwalniając duszę jego na pokutę. Żmija przypuszczalnie długości piętnastu arszynów⁹¹ i grubości człowieka, jak sprężyna, wyskoczyła z łopuchów. Tuman kurzu trysnął z drogi i walc się skończył. Żmija machnęła obok zarządzającego sowchozem wprost tam, gdzie był biały kaftanik, na drodze Rokk widział zupełnie wyraźnie: Mania zrobiła się żółto-biała i jej długie włosy, jakby druciane, podniosły się na pół arszyna nad głową. Żmija w oczach Rokka, rozwarłszy na mgnienie paszczę, z której wyrzuciło się coś podobnego do wideł, schwytała zębami Manię, upadającą w pył, za ramię, tak że podniosła ją na arszyn nad ziemię. Wtedy Mania powtórzyła ostry przedśmiertny krzyk. Żmija wykręciła się jak pięciosążniowa śruba, ogon jej wzniósł wir powietrzny, i zaczęła dusić

⁹¹arszyn — daw. rosyjska miara długości, wynosząca ok. 0,75 m. [przypis edytorski]

Manię. Ta nie wydała już ani jednego dźwięku i tylko Rokk słyszał, jak pękały jej kości. Wyso-ko nad ziemią zakołysała się głowa Mani, czule przytulona do policzka żmii. Z ust Mani trysnęła krew, wyskoczyła złamana ręka i spod paznokci trysnęły strumyczki krwi. Potem żmija, rozwarłszy szczęki, rozdziawiła paszczę i od razu nadziała swą głowę na głowę Mani i zaczęła wsuwać ją na nią, jak rękawiczkę na palec. Od żmii na wszystkie strony bił taki gorący oddech, że dotknął się on i twarzy Rokka, a ogon omal że nie zmiotł go z drogi w żrący kurz. Oto tu właśnie Rokk i posiwiął. Z początku lewa, a potem i prawa połowa jego czarnej jak but głowy okryła się srebrem. W śmiertelnych mdłościach oderwał się wreszcie od drogi, i nic i nikogo nie widząc, ogłuszając okolice dzikim wyciem, począł uciekać...

ROZDZIAŁ IX. ŻYWA KASZA

Agent państwowego urzędu politycznego na stacji Dugino, Szczukin, był bardzo odważnym

człowiekiem. W zamyśleniu rzekł do swego kolegi, rudego Polajtisa:

— No, cóż, pojedziemy. Co?... Dawaj motocykl — potem milczał przez chwilę i dodał, zwracając się do człowieka, siedzącego na ławce: połóżcie ten flet.

Lecz siwy, trzęsący się człowiek w lokalu dugińskiego GPU, fletu nie położył, a zapłakał i zabeczał. Wtedy Szczukin i Polajtis zrozumieli, że flet trzeba wyjąć. Palce przyschły do niego. Szczukin, odznaczający się olbrzymią, prawie atletyczną siłą, począł palec za palcem odginać i odgiął wszystkie. Wtedy flet położyli na stole.

Było to wczesnym słonecznym rankiem następnego po śmierci Mani dnia.

— Wy pojedziecie z nami — rzekł Szczukin, zwracając się do Aleksandra Siemienowicza — pokażecie nam, gdzie i co. — Lecz Rokk w przerażeniu odsunął się od niego i zakrył się rękoma, jak przed straszliwym widziadłem.

— Trzeba pokazać — dodał surowo Polajtis.

— Nie, zostaw go. Widzisz przecież, człowiek nie jest przy zdrowych zmysłach.

— Wyślijcie mnie do Moskwy — poprosił z płaczem Aleksander Siemienowicz.

— Czyż wy zupełnie nie wrócicie do sowchozu?

Lecz Rokk zamiast odpowiedzi zasłonił się znów rękoma i przerażenie popłynęło z jego oczu.

— No, dobrze — zdecydował Szczukin: wy rzeczywiście nie macie sił... Widzę to. Zaraz pójdzie kurierski pociąg, to jedźcie nim.

Potem Szczukin z Polajtisem, podczas gdy stróż stacyjny poił Aleksandra Siemienowicza wodą i ten szcząkał zębami o niebieski wyszczerbiony kubek, odbyli naradę. Polajtis przypuszczał, że w ogóle nic z tego nie było, a po prostu Rokk jest umysłowo chory i miał straszliwe halucynacje. Szczukin zaś więcej skłaniał się ku wnioskowi, że z m. Graczewki, w którym obecnie gościł cyrk wędrowny, uciekł *boa constrictor*⁹². Posłyszawszy ich pełen powątpie-

⁹²*boa constrictor* (łac.) — boa dusiciel. [przypis edytorski]

wania szept, Rokk wstał. Przyszedł cokolwiek do siebie i rzekł, wyciągając ręce, jak prorok biblijny:

— Słuchajcie mnie. Słuchajcie. Czemuż wy mi nie wierzycie? Ona była. Gdzież jest moja żona?

Szczukin stał się milczącym i poważnym i natychmiast nadał do Graczewki jakąś depe-
szę. Trzeci agent, na skutek polecenia Szczuki-
na, nieodstępnie znajdował się przy Aleksan-
drze Siemienowiczu i winien był towarzyszyć
mu do Moskwy. Szczukin zaś z Polajtisem po-
częli szykować się do wyprawy. Mieli wszyst-
kiego tylko jeden rewolwer elektryczny, lecz
i to już była dobra obrona. Pięćdziesięciostra-
łowy model 27. roku, duma francuskiej tech-
niki dla bliskiego obstrzału, bił wszystkiego na
sto kroków, lecz dawał pole o 2 metrach w śred-
nicy i w tym polu zabijał wszystko, co żyło, na
miejscu. Chybić było bardzo trudno. Szczukin
nadział wspaniałą elektryczną zabawkę, a Po-
lajtis zwykły 25-strzałowy ręczny kulomocik,
wzięli zapasowe wstęgi z nabojami i na jed-

nym motocyklu, po porannej rosie i chłodku, pomknęli szosą do sowchozu. Motocykl przebiegł 20 wiorst, dzielących stację od sowchozu w kwadrans (Rokk szedł całą noc, coraz kryjąc się, w atakach strachu, w przydrożnej trawie), i kiedy słońce zaczęło porządnie przypiekać, na pagórku, pod którym wiła się rzeczka Top', wyjrzał cukrowy pałac z kolumnami w zieleni. Martwa cisza panowała wokoło. Przy samym dojeździe do sowchozu agenci minęli włościanina na podwodzie. Wlókł się, nie spiesząc, obładowany jakimiś workami, i wkrótce pozostał w tyle. Motocykl przebiegł przez most i Polajtis zaryczał na trąbce, ażeby wywołać kogokolwiek. Lecz nikt i nigdzie nie odezwał się, z wyjątkiem odległych rozwścieszonych psów w Koncowce. Motocykl, zwalniając biegu, zbliżył się do bramy z pozieleniałymi lwami. Zakurzeni agenci w żółtych getrach zeskokczyli, przywiązali łańcuszkiem z kłódką do sztachet maszyny i weszli na podwórze. Zdumiała ich cisza.

— Hej, jest tu kto! — zawołał głośno Szczukin.

Lecz nikt się nie odezwał na jego bas. Agenci obeszli podwórze wokoło, dziwiąc się coraz bardziej. Polajtis nachmurzył się. Szczukin zaczął patrzeć poważnie, coraz bardziej marszcząc jasne brwi. Zajrzeli przez zamknięte okno do kuchni i zobaczyli, że tam nikogo nie ma, lecz cała podłoga usiana była białymi szczątkami naczyń.

— Wiesz ty, że rzeczywiście u nich coś się stało. Teraz widzę. Katastrofa — mówił Polajtis.

— Hej, jest tam kto! Hej! — krzyknął Szczukin, lecz odpowiadało mu tylko echo pod stropem kuchni.

— Diabli ich wiedzą! — mruczał Szczukin: Przecież nie mogła ich pożreć wszystkich od razu. Albo uciekli. Idziemy do domu.

Drzwi do pałacu z werandą kolumnową otwarte były na roścież i panowały w nim zupełne pustki. Agenci przeszli nawet na strychn, stukali i otwierali wszystkie drzwi, lecz nic stanow-

czego nie dowiedzieli się i przez zamary ganek znów wyszli na podwórze.

— Obejdziemy wokoło. Do oranżerii — wydał polecenie Szczukin — wszystko przeszukamy, potem można będzie stąd zatelefonować.

Wyłożoną ceglami drogą agenci poszli, omijając klomby, na tylne podwórze, przecięli je i zobaczyli błyszczące szkła oranżerii.

— Poczekaj-no — zauważył szeptem Szczukin i odpiął od pasa rewolwer. Polajtis stał się czujnym i zdjął kulomiocik. Dziwny i bardzo syczący dźwięk rozlegał się w oranżerii i gdzieś za nią. Podobne to było do tego, że gdzieś syczy parowóz. Zaw-zaw-zaw-zaw... s-s-s-s... syczała oranżeria.

— A, no więc ostrożnie — szepnął Szczukin i, starając się nie stukać obcasami, agenci przysunęli się do samych szyb i zajrzeli do oranżerii.

Natychmiast Polajtis cofnął się w tył i twarz jego zbladła. Szczukin otworzył usta i zamarł z rewolwerem w ręku..

Cała oranżeria żyła jak robaczywa kasza. Wi-
jąc się i zwijając w kłęby, sycząc i rozkręcając,
macając i kołysząc głowami, po podłodze oran-
żerii pełzały olbrzymie żmije. Rozbite skorup-
ki przewalały się po podłodze i chrzęściły pod
ich ciałami. W górze blado płonęła olbrzymiej
mocy kula elektryczna i od niej całe wnętrze
oranżerii oświetlone było straszliwym kinema-
tograficznym światłem. Na podłodze sterczały
trzy ciemne, zupełnie jakby fotograficzne ol-
brzymie skrzynki, dwie z nich, zsunięte i prze-
krzywione, zgasły, a w trzecim płonęła niewiel-
ka ciemnomalinowa plama światła. Żmije wszel-
kich rozmiarów pełzały po przewodnikach, pod-
nosiły się po ramach okiennych, wyłaziły przez
otwory w dachu. Na samej kuli elektrycznej
wisiała zupełnie czarna, plamista żmija długo-
ści kilku arszynów i głowa jej chwiała się przy
kuli jak wahadło. Jakieś grzechotki brzęcza-
ły w syczeniu, z oranżerii rozchodził się jakiś
dziwny, zupełnie jakby ze stawu, zapach. I jesz-
cze niewyraźnie dojrzeli agenci stosy białych
jaj, przewracających się w zakurzonych kątach,

i dziwnego olbrzymiego ptaka, leżącego nieruchomo przy kamerze, i trupa człowieka w szarym przy drzwiach, obok karabinu.

— W tył — krzyknął Szczukin i zaczął cofać się, lewą ręką odsuwając Polajtisa i prawą podnosząc rewolwer. Zdążył wystrzelić dziewięć razy i wyrzucić około oranżerii zielonkawą błyskawicę. Dźwięk strasznie się spotęgował i w odpowiedzi na strzelaninę Szczukina cała oranżeria wpadła w szalony ruch, i płaskie głowy zamigały we wszystkich otworach. Grom natychmiast zaczął skakać po całym sowchozie i grać odbłyskami po ścianach. Czach-czach-tach — strzelał Polajtis, cofając się tyłem. Dziwny, czterolapy szelest dał się słyszeć za plecami i Polajtis nagle straszliwie krzyknął, padając na wznak. Stworzenie, na wykręconych łapach, brązowo-zielonej barwy, z olbrzymią ostrą mordą, z grzebieniastym ogonem, podobne do straszliwych rozmiarów jaszczurki, wytoczyło się z za rogu szopy i z wściekłością przegryzłszy nogę Polajtisowi, powaliło go na ziemię.

— Na pomoc! — krzyknął Polajtis, i natychmiast lewa ręka jego wpadła do paszczy i trzasnęła, prawą ręką, na próżno próbując podnieść ją, pociągnął rewolwerem po ziemi. Szczu-kin odwrócił się i rzucił się na pomoc. Zdążył raz wystrzelić, lecz silnie wziął w bok, dlatego że obawiał się zabić kolegę. Po raz drugi wystrzelił w stronę oranżerii, dlatego że stamtąd wśród niewielkich paszczy żmij wysunęła się jedna olbrzymia, oliwkowa, i cielsko wyskoczyło wprost w jego kierunku. Wystrzałem tym zabił olbrzymią żmiję i znów, skacząc i kręcąc się obok Polajtisa, na wpół martwego już w paszczy krokodyla, wybierał miejsce, gdzie by wystrzelić, ażeby zabić gada, nie tknąwszy agenta. W końcu udało mu się to. Z elektrowolweru trzasnęło dwa razy, oświetliwszy wszystko wokół zielonkawym światłem, i krokodyl, podskoczywszy, wyciągnął się, zeszywniał, i wypuścił Polajtisa. Płynęła temuż krew z rękawa, ciekła z ust, i opierając się na prawej ręce, ciągnął złamaną lewą nogę. Oczy jego gasły.

— Szczukin... uciekaj — wyjęczał z łkaniem.

Szczukin wystrzelił kilkakrotnie w kierunku oranżerii i z niej wypadło kilka szyb. Lecz olbrzymia sprężyna, oliwkowa i giętka, wyskoczyła z tyłu z okienka piwnicznego, prześlizgnęła się przez podwórze, zajmwszy je całe swym pięciosążniowym ciałem, i błyskawicznie otoczyła nogi Szczukina. Rzuciło go w dół na ziemię i błyszczący rewolwer odleciał w bok. Szczukin krzyknął głośno, potem zaczął dusić się, potem pierścienie spowiły go zupełnie, oprócz głowy. Pierścień przesunął się raz po głowie jego, zdzierając z niej skalp, i głowa ta trzasnęła. Więcej w sowchozie nie było słyszeć ani jednego wystrzału. Wszystko stłumił syczący, zagłuszający wszystko dźwięk. I w odpowiedzi mu bardzo daleko po wietrze dobiegało z Koncowki wycie, lecz teraz już trudno było rozróżnić, czyje to wycie, psie czy ludzkie.

ROZDZIAŁ X. KATASTROFA

W nocnej redakcji gazety „Izwestia” jasno płonęły lampy i tęgi redaktor, łamiący numer, na obitym blachą stole łamał drugą kolumnę z depeszami „Po związku Republik”. Jedna szpalta wpadła mu w oczy, wpatrzył się w nią przez binokle i roześmiał się, zwołał wokoło siebie korektorów z korektami i metrampaża⁹³ i wszystkim pokazał tą szpaltę. Na wąskim pasku papieru wilgotnego było wydrukowane:

„Graczewka, smoleńskiej guberni. W powiecie ukazała się kura wielkości konia i wierzga jak koń. Zamiast ogona posiada burżuazyjne damskie pióra”.

Zecerzy śmieli się strasznie.

— Za moich czasów — przemówił łamiący numer, śmiejąc się soczyście — kiedy pracowałem u Wani Sytina w „Ruskim Słowie”, ludzie upijali się do słoni. To prawda. A teraz, znaczy się, do strusi.

⁹³metrampaż (z fr. *mettre en page*) — pracownik drukarni układający tekst na stronie. [przypis edytorski]

Zecerzy śmieli się.

— A przecież, prawda, struś — rzekł metrapaź — cóż, wstawić, Iwanie Bonifatiewiczu.

— A cóżeś ty, zgłupiałeś — odpowiedział łamiący numer — dziwię się, jak to sekretarz przepuścił — po prostu pijana depesza.

— Świętowali tam widać, to pewne — zgodzili się zecerzy i metrapaź sprzątnął ze stołu wiadomość o strusiu.

Dlatego też „Izwiestia” wyszły następnego dnia, zawierając, jak zwykle, masę ciekawego materiału, lecz bez żadnych szczególnych napomknień o graczewskim strusiu. Prywat-docent Iwanow, akuratnie czytający „Izwiestia”, zwinął w swoim gabinecie arkusz, ziewnął, rzekł: nic nie ma ciekawego — i zaczął wkładać biały fartuch. Po pewnym czasie zapłonęła w jego gabinecie lampka i zaczęły kwakać żaby. W gabinecie zaś Piersikowa panował rejuwach. Przestraszony Pankrat stał wyprostowany na baczność.

— Zrozumiałem... słucham — mówił.

Piersikow doręczył mu zapieczętowaną laskiem kopertę i rzekł:

— Pojedziesz prosto do oddziału hodowli zwierząt do tego zarządzającego Ptachy i powiesz mu wprost, że jest — świnią. Powiedz, że tak, ja, profesor Piersikow, powiedziałem. I kopertę mu oddaj.

„Ładna sprawa”... — pomyślał blady Pankrat i wyszedł z kopertą.

Piersikow szalał.

— To diabli wiedzą co takiego — narzekał, spacerując po gabinecie i zacierając ręce w rękawiczkach — to niesłychane znęcanie się na de mną i nad zoologią. Te przekłete jaja kurze wiozą stosami, a ja od 2 miesięcy nie mogę wywalczyć tego, co jest niezbędne. Zupełnie jakby do Ameryki było daleko! Wieczny bezład, wieczny nieporządek — zaczął liczyć na palcach: złowienie... no, dziesięć dni najwyżej, no, dobrze — piętnaście... no, dobrze, dwadzieścia i przelot dwa dni, z Londynu do Berlina dzie-li... Z Berlina do nas sześć godzin... jakiś trudny do opisanie nieporządek...

Wściekle rzucił się do telefonu i zaczął gdzieś dzwonić.

W gabinecie jego wszystko było przygotowane do jakichś tajemniczych i niebezpiecznych doświadczeń, leżały pasma naciętego papieru dla oklejenia drzwi, leżały hełmy nurków z rurkami ratunkowymi i kilka balonów, błyszczących jak rtęć, z etykietą „dobrochim”, „nie dotykać się” i rysunkiem czaszki ze skrzyżowanymi kośćmi.

Potrzeba było co najmniej trzech godzin, ażeby profesor uspokoił się i przystąpił do drobnych prac. Tak i zrobił. W instytucie pracował do jedenastej godziny w nocy, i dlatego o niczym nie wiedział, co się dzieje za kremowymi ścianami. Ani bezsensowna pogłoska, która dobiegła do Moskwy o jakichś zmijach, ani dziwna wykrzykiwana depesza gazety wieczornej pozostały mu nieznanne, dlatego że docent Iwanow był w teatrze Artystycznym na *Fiodorze Iwanowiczu*, i znaczy się, nie miał kto zakomunikować tą nowość profesorowi.

Piersikow około północy przyjechał na Preczystienkę i położył się spać, przeczytawszy jeszcze na noc w łóżku jakiś artykuł angielski w piśmie „Wiadomości Zoologiczne”, otrzymanym z Londynu. Spał, i spała cała kręcąca się do późnej nocy Moskwa, i nie spał tylko olbrzymi szary gmach na ul. Twerskiej, w podwórzu, gdzie strasznie huczały, wstrząsając całym gmachem, maszyny rotacyjne „Izwestii”. W gabinecie łamiącego numer panował nieprawdopodobny rejwach i zamieszanie. Tenże zupełnie wściekły, z czerwonymi oczyma, miotał się, nie wiedząc co robić, i odsyłał wszystkich do diabłej matki. Metrampaż chodził za nim, i rozsiewając zapachy alkoholu, mówił:

— No cóż, Iwan Bonifatiewicz, nieszczęście, niechaj jutro rano wydają dodatek nadzwyczajny. Nie będziemy przecież numeru z maszyny zdejmować!

Zecerzy nie rozeszli się do domów, a chodzili gromadnie, zbierali się wszyscy razem i odczytywali depesze, które szły całą noc bez przerwy, co kwadrans, stając się coraz potworniej-

szymi i dziwniejszymi. Szpiczasty kapelusz Alfreda Brońskiego migał w oślepiającym różowym świetle, zalewającym drukarnię, i mechaniczny grubas skrzypiał i kuśtykał, pokazując się to tu, to tam. Przy wejściu trzaskały drzwi i całą noc zjawiali się reporterzy. Wszystkie 12 telefonów drukarni dzwoniło bez przerwy i stacja prawie że mechanicznie odpowiadała na zagadkowe sygnały „zajęte”, „zajęte”, i na stacji przed nieśpiącymi telefonistkami śpiewały i śpiewały trąbki sygnałowe...

Zecerzy otoczyli mechanicznego grubasa i kapitan dalekiej żeglugi mówił im:

— Aeroplany z gazem trzeba będzie posłać!

— Nie inaczej — odpowiadali zecerzy — wszak to cóż takiego. — Potem straszliwe macierzyste wymysły przetaczały się w powietrzu i czyjś piskliwy głos krzyczał:

— Tego Piersikowa rozstrzelać trzeba.

— Co ma z tym Piersikow — odpowiadali z tłumy — tego sukinsyna w sowchozie — ot kogo rozstrzelać.

— Ochronę trzeba było postawić — wykrzykiwał ktoś.

— Tak, a być może to wcale i nie jajka.

Cały gmach trząsał się i huczał od kół rotacyjnych i stwarzało się takie wrażenie, że szary monotonny gmach kołysany jest przez pożar elektryczny.

Wschodzący dzień nie wstrzymał go. Przeciwnie, tylko spotęgował, chociaż i elektryczność zgasła. Motocykle jeden za drugim wtaczały się na asfaltowe podwórze, na zmianę z samochodami. Cała Moskwa wstała i białe arkusze gazety przyodziały ją jak ptaki. Arkusze sypały się i szeleściły w rękach wszystkich, i gazeciarzom o godzinie jedenastej rano zabrakło numerów, pomimo że „Izwestia” wychodziły w tym miesiącu w nakładzie półtora miliona egzemplarzy. Profesor Piersikow wyjechał z Preczystienki autobusem i przybył do instytutu. Tam oczekiwała go nowość. W westybulu stały akuratnie obite metalowymi pasmami drewniane skrzynki, w liczbie trzech sztuk, upstrzone zagranicznymi naklejkami w języku

niemieckim i nad nimi panował jeden ruski kredą zrobiony napis: „ostrożnie — jaja”.

Szalona radość ogarnęła profesora.

— Nareszcie — zawołał: Pankrat, otwiera skrzynki natychmiast i ostrożnie, ażeby nie rozbić. Do mnie do gabinetu.

Pankrat natychmiast wykonał polecenie i po kwadransie w gabinecie profesora, usianym trocinami i strzępkami papieru, rozszalał głos jego:

— A cóż to oni, znęcają się nade mną, czy co — wył profesor, potrząsając pięściami i kręcąc w rękach jajka: to jakieś bydłę, a nie Ptacha. Nie pozwolę drwić sobie ze mnie. Cóż to takiego, Pankrat?

— Jajka — odpowiedział Pankrat z goryczą.

— Kurze, rozumiesz, kurze, czart by ich zdławił! Na jakiego diabła są one mi potrzebne. Niech posyłają je temu łotrowi do sowchozu!

Piersikow pobiegł do kąta do telefonu, lecz nie zdążył zadzwonić.

— Włodzimierzu Ipatiewiczu! Włodzimierzu Ipatiewiczu! — zagrzemiał w korytarzu głos Iwanowa.

Piersikow oderwał się od telefonu i Pankrat odskoczył w bok, dając drogę prywat-docentowi. Ten wbiegł do gabinetu, wbrew swym zwyczajom gentelmańskim, nie zdejmując szarego kapelusza, zsuniętego na tył głowy, i z arkuszem gazety w ręku.

— Pan wie, Włodzimierzu Ipatiewiczu, co się stało — wykrzykiwał i wymachiwał przed twarzą Piersikowa arkuszem z napisem, „dodatek nadzwyczajny”, pośrodku którego widniał jaskrawy rysunek.

— Nie, niech pan posłucha, co oni zrobili — w odpowiedzi zawołał, nie słuchając, Piersikow — zamyślili zdumieć mnie kurzymi jajami. Ten Ptacha to jest formalny idiota, niech pan zobaczy!

Iwanow w zupełności oszalał. W przerażeniu wpatrywał się w otwarte skrzynki, potem w arkusz, potem oczy jego po prostu wyskoczyły z twarzy.

— Tak więc co — dławiąc się, wybełkotał: teraz rozumiem... Nie, Włodzimierzu Ipatiewiczu, niech pan tylko spojrzy — momentalnie rozwinął arkusz i drżącymi palcami wskazał Piersikowowi na barwny wizerunek. Na nim, jak straszliwy wąż straży ogniowej, wiła się oliwkowa z żółtymi plamami żmija, w dziwnej zamazanej zieleni. Była zdjęta z góry, z leciutkiego aeroplanu, ostrożnie prześlizgującego się nad żmiją — kto to jest, według pana, Włodzimierzu Ipatiewiczu?

Piersikow zsunął okulary na czoło, potem przesunął je na oczy, wpatrywał się w rysunek.

— Co za diabeł. To... przecież to anakonda, boa wodny...

Iwanow zrzucił kapelusz, opadł na krzesło i rzekł, wystukując każde słowo pięścią po stole:

— Włodzimierzu Ipatiewiczu, to anakonda ze smoleńskiej guberni. Coś potwornego. Pan rozumie, ten łotr wywiódł żmije zamiast kur i, pan rozumie, dały one takie same fenomenalne wyniki, jak żaby!

— Co takiego? — odpowiedział Piersikow i twarz jego stała się szarą: Pan żartuje, Piotrze Stiepanowiczu... Skąd?...

Iwanow oniemiał na chwilę, potem odzyskał dar mowy i uderzając palcem w otwartą skrzynkę, gdzie błyszcząły bielutkie główki w żółtych trocinach, rzekł:

— Oto stąd.

— Co-o?! — zawył Piersikow, zaczynając kombinować.

Iwanow z zupełnym przekonaniem machnął dwoma zaciśniętymi pięściami i zakrzyczał:

— Niech pan będzie spokojny. Oni pańskie zamówienie na jaja żmij i strusie przesłali do sowchozu, a kurze panu przez omyłkę.

— Boże mój... Boże mój.... — powtórzył Piersikow i, zieleniejąc na twarzy, zaczął siadać na śrubowym taborecie.

Pankrat w zupełności zgłupiał przy drzwiach, zbladł i oniemiał. Iwanow zerwał się, schwytał arkusz i, podkreślając ostrym paznokciem wiersz, zakrzyczał do uszu profesora:

— No, teraz oni będą mieć wesołą historię!.. Co teraz będzie, stanowczo nie wyobrażam sobie. Włodzimierzu Ipatiewiczu, niech pan spojrzy — I zawołał głośno, odczytując pierwsze napotkane miejsce ze zmiętego arkusza: — Żmije idą stadami, w kierunku Możajska... składają nieprawdopodobne ilości jajek... Jajka zostały zauważone w Duchowskim powiecie... Ukazały się krokodyle i strusie. Oddziały specjalnego przeznaczenia... i oddziały zarządu państwowego przerwały panikę w Wiaźmie po tym, gdy zapalono las podmiejski, powstrzymując w ten sposób posuwanie się gadów...

Piersikow różnobarwny, sinoblady, z obłąkanymi oczyma, wstał z taboretu i dławiąc się zaczął krzyczeć:

— Anakonda... anakonda... wodny boa! Boże mój!... — w takim stanie nigdy go jeszcze nie widzieli ani Iwanow, ani Pankrat.

Profesor zerwał jednym szarpnięciem krawat, oberwał guziki przy koszuli, zaczerwienił się straszliwym paralitycznym kolorem i, chwiejąc się, z zupełnie tępych szklanymi oczy-

ma, rzucił się gdzieś precz. Płacz rozległ się pod kamiennymi stropami instytutu.

— Anakonda... anakonda... — zagrzmiało echo.

— Chwytaj profesora! — pisnął Iwanow do Pankrata, tańczącego z przerażenia na miejscu: Wody mu... dostał ataku...

ROZDZIAŁ XI. BÓJ I ŚMIERĆ

Płonąca wściekła noc elektryczna w Moskwie. Płonęły wszystkie lampy i w mieszkaniach nie było miejsca, gdzie by nie jaśniały lampy ze zrzuconymi abażurami. Ani w jednej dzielnicy Moskwy, liczącej 4 miliony mieszkańców, nie spał ani jeden człowiek oprócz niezdających sobie sprawy dzieci. W mieszkaniach jedli i pili, jak się dało, w mieszkaniach coś wykrzykiwali i co chwila wykrzywione twarze wyglądały przez okna na wszystkich piętrach, kierując wzrok ku niebu, przerżniętemu we wszystkich kierunkach przez reflektory. Na niebie co chwila wybuchały białe ognie, odrzucały top-

niejące blade stożki na Moskwę i nikły i gasły. Niebo bez przerwy huczało bardzo niskim warczeniem aeroplanów. Szczególnie strasznie było na Twerskiej — Jamskiej. Na dworzec Aleksandrowski co 10 minut przychodziły pociągi, złożone jak się dało z towarowych i różnej klasy wagonów i nawet cystern, oblepionych oszalałymi ludźmi, i Twersko — Jamską biegli gęstą kaszą, jechali autobusami, jechali na dachach tramwajów, dławili jedni drugich i wpadali pod koła. Na dworcu co chwila wybuchała trzaskająca niepokojąca strzelanina ponad tłumem — to oddziały wojskowe zatrzymywały panikę obłąkanych, biegnących przez zwrotnice linii kolejowych z guberni smoleńskiej na Moskwę. Na dworcu co chwila z wściekłym lekkim pojękiwaniem wypadały szyby w oknach i wyły wszystkie parowozy. Wszystkie ulice były usiane plakatami, porzuconymi i zdeptanymi, też same plakaty pod palącymi malinowymi reflektorami patrzyły ze ścian. Wszystkim były znane i nikt ich nie czytał. Ogłaszano przez nie Moskwę w sta-

nie wojennym. Grożono w nich karami za panikę i zawiadamiano, że do smoleńskiej guberni oddział za oddziałem jadą pułki czerwonej armii, uzbrojone w gazy. Lecz plakaty nie mogły powstrzymać wyjącej nocy. W mieszkaniach upuszczano i bito naczynia i wazony od kwiatów, biegano, zaczepiając o kąty, związywano i rozwiązywano jakieś tłumoki i walizy, w próżnej nadziei przedostania się na plac Kałanczewski, na dworzec Jarosławski lub Mikołajewski. Niestety, wszystkie dworce, prowadzące na północ i wschód, otoczone były gęstymi szeregami piechoty, i olbrzymie samochody ciężarowe, kołysząc się, brzęcząc łańcuchami, do góry naładowane skrzyniami, na których siedzieli żołnierze w szpiczastych hełmach, ze sterczącymi ze wszystkich stron bagnietami, wywoziły zapasy złotych monet z podziemi komisarjatu ludowego finansów i olbrzymie skrzynie z napisem: „Ostrożnie. Tretiakowska galeria”. Maszyny ryczały i biegały po całej Moskwie.

Bardzo daleko na niebie drżał odbłask pożaru i dawało się słyszeć, kołysząc głęboki mrok sierpnia, nieustanne bicie armat.

Nad ranem, przez bezsenną Moskwę, która nie zgasiła ani jednego ognia, w górę ul. Twerskiej, zmiatając wszystko, po drodze, co cisnęło się do bram domów i witryn, wybijając szyby, przeszedł wielotysięczny, walący kopytami po bruku, wąż armii konnej. Malinowe baszłyki⁹⁴ kołysały się końcami na szarych plecach i koniuszki pik kłuły niebo. Tłum, miotający się i wyjący, jakby ożył od razu, zobaczywszy pracę naprzód, przecinające rozplaszczony war szалу, szeregi. W tłumie na trotuarach zaczęto witać ich z nadzieją, wyć.

— Niech żyje konna armia! — krzyczały pełne zachwyty głosy kobiet.

— Niech żyje! — odpowiadali mężczyźni.

— Zdławiają!!... zdławiają!... — wyli gdzieś.

— Pomóżcie! — krzyczeli z chodników.

Pudełka papierosów, pieniądze srebrne, zegarki leciały z chodników w szeregi, jakieś ko-

⁹⁴baszłyk — rodzaj kaptura. [przypis edytorski]

biety wyskakiwały na jezdnię i ryzykując kości, ciągnęły z boków szeregów konnych, czepiając się strzemion i całując je. W nieustannym waleniu kopyt o bruk od czasu do czasu rozlegały się głosy plutonowych:

— Krócej lejce!

Gdzieś znów śpiewali wesoło i zamaszyście i z koni patrzeli w migotliwym świetle reklam twarze w czapkach malinowych na bakier. Co chwila przerywając szeregi konnych z odkrytymi twarzami, jechały na koniach dziwne figury, w dziwnych maskach, z prowadzącymi za plecy rurkami i z balonami na rzemieniach na plecach. Za nimi pełzły olbrzymie cysterny — samochody, z długimi rurami i wężami, zupełnie jak na wozach straży ogniowej, i ciężkie, rozbijające bruk, na moc zamknięte i świecące wąskimi strzelnicami, tanki⁹⁵ na łapach gąsienicowych. Przerywały się szeregi konnych i szły samochody, zakute na moc w szare pancerze, z takimiz rurkami, sterczącymi na zewnątrz, i białymi wymalowanymi trupimi gło-

⁹⁵*tank* — czołg. [przypis edytorski]

wami po bokach, z napisem: „gaz”, „Dobrochim”.

— Ratujcie bracia — wyli z trotuarów — bijcie gady... Ratujcie Moskwę!...

— Mać... mać... — toczyło się przez szeregi. Papierosy paczkami skakały w oświetlonym powietrzu nocnym i białe zęby szczyrzyły się z koni do oszalałych ludzi. Przez szeregi przebiegał głuchy i szarpiący za serce śpiew:

... Ani tuz⁹⁶, ani dama, ani walet. Pobjemy gady bez wątpienia. Czterech z boku waszych nie ma”...

Huczące grzmoty „ura” wpływały nad całą tą kaszą, dlatego że rozeszła się pogłoska, że na przedzie szeregów na koniu, w takim samym malinowym baszłyku, jak i wszyscy jeźdźcy, jedzie ten, który stał się legendą przed dziesięciu laty⁹⁷, postarzały i osiwiały wódz konnej gromady. Tłum był i ku niebu ulatywał, co-

⁹⁶tuz (daw.) — as w kartach. [przypis edytorski]

⁹⁷ten, który stał się legendą przed dziesięciu laty — Siemion Michajłowicz Buidionny (1883–1973), rosyjski, a potem radziecki dowódca wojskowy, dowódca I Armii Konnej. [przypis edytorski]

kolwiek uspakajając niespokojne serca, krzyk „ura... ura”...

*

Instytut był skąpo oświetlony. Wypadki dobiegały do niego tylko oddzielnymi, niejasnymi i głuchymi oddźwiękami. Raz pod ognistym zegarem w pobliżu maneżu⁹⁸ rozległa się, jak wachlarz, salwa, to rozstrzeliwano na miejscu maruderów, próbujących ograbić mieszkania na Wołchonkie. Ruchu samochodowego na ulicy tu było mało, wszystek koncentrował się przy dworcach. W gabinecie profesora, gdzie blado płonęła jedna lampa, rzucając blady pęk światła na biurko, Piersikow siedział, wsparłszy głowę na rękach, i milczał. Dym warstwami snuł się wokoło niego. Promień w skrzynce zgasł. W terrariach żaby milczały, gdyż już spały. Profesor nie pracował i nie czytał. Na stole, pod lewym łokciem jego leżało wieczorne wydanie depesz na wąskiej szpalcie, zawiadamiające, że Smoleńsk płonie cały i że artyleria

⁹⁸maneż — tu: okrągły plac. [przypis edytorski]

obstrzeliwa las możajski kwadratami, rozbijając złogi jaj krokodylich, złożone we wszystkich wilgotnych jarach. Zawiadamiano, że eskadrilla aeroplanów pod Wiaźmą działała z wielkim powodzeniem, zalewając gazem prawie cały powiat, lecz że ofiary ludzkie na tych przestrzeniach są niezliczone z tego powodu, że ludność, zamiast tego, ażeby opuszczać swe powiaty w trybie prawidłowej ewakuacji, dzięki panice, miotła się rozbitymi grupami na własne ryzyko, pędząc gdzie oczy poniosą. Zawiadamiano, że specjalna kaukaska dywizja kawalerii w kierunku możajskim wspaniale wygrała bitwę ze stadami strusiów, wyrąbawszy je wszystkie i zniszczywszy olbrzymie gniazda jaj strusich. Przy tym dywizja poniosła nieznaczne straty. Zawiadamiano w imieniu rządu, że na wypadek, jeżeli gadów nie uda się zatrzymać w odległości 200 kilometrów od stolicy, będzie ona ewakuowana w zupełnym porządku. Urzędnicy i robotnicy winni zachować zupełny spokój. Rząd przedsięwzięmie najsurowsze kroki w celu niedopuszczenia do smoleń-

skiej historii, w której wyniku, dzięki zamętowi, wywołanemu niespodziewanym atakiem grzechotników, które się zjawily w ilości kilkunastu tysięcy, miasto zapłonęło ze wszystkich stron, gdyż porzucono płonące piece i rozpoczęto beznadziejną masową ucieczkę. Zawiadamiano, że w żywność Moskwa jest zaopatrzona przynajmniej na pół roku i że rada przy wodzu naczelnym zarządza terminowe środki celem ufortyfikowania mieszkań dlatego, ażeby prowadzić bój z gadami na samych ulicach stolicy, na wypadek, gdyby czerwonym armiom i aeroplanom i eskadrillom nie udało się powstrzymać najścia pełzających.

Niczego tego profesor nie czytał, patrzył szklannymi oczyma przed siebie i palił. Oprócz niego tylko dwie osoby były w instytucie — Pankrat i — co chwila zalewająca się łzami, gospodyni Maria Stiepanowna, nie śpiąca już trzecią noc, którą spędzała w gabinecie profesora, za nic nie zgadzającego się na opuszczenie swej jedynej pozostałej zgasłej już skrzynki. Teraz Maria Stiepanowna przytuliła się na

ceratowej otomance, w cieniu w kącie, i milczała w żałośliwych rozmyślaniach, patrząc jak czajnik z herbatą, przeznaczoną dla profesora, zagotował się na trójnogu palnika gazowego. Instytut milczał i wszystko rozegrało się nagle.

Z trotuaru naraz dały się słyszeć pełne nienawiści donośne krzyki, tak że Maria Stiepanowna zerwała się nagle i pisnęła. Na ulicy zabłysły ognie latarni i rozległ się głos Pankrata w westybulu. Profesor słabo zareagował na ten hałas. Podniósł głowę na chwilę, zamruczał: „patrzcie, jak się wściekają... cóż ja teraz zrobię”. I znów wpadł w odrętwienie. Lecz było ono naruszone. Straszliwie zagrzmiały okute drzwi instytutu, wychodzące na ulicę Herce-
na, i wszystkie ściany zatrzęsły się. Potem roz-
pękł się olbrzymi słój zwierciadlany w sąsied-
nim gabinecie. Zabrzęczało i posypało się szkło
w gabinecie profesora i szary brukowiec wpadł
przez okno, rozbijając stół szklanny. Żaby pod-
skoczyły w terrariach i wszczęły wrzask. Zaczęła
biegać, piszczeć Maria Stiepanowna, podbiegła
do profesora, chwytając go za ręce i krzycząc:

„uciekajcie, Włodzimierzu Ipatiewiczu, uciekajcie”. — Ten wstał z krzesła ze śrubą, wyprostował się i zgiąwszy palec haczykowato, odpowiedział, przy czym oczy jego przybrały na mgnienie dawny ostry blask, przypominający dawnego natchnionego Piersikowa.

— Nigdzie nie pójdę — wyrzekł — to po prostu głupstwo — miotają się, jak wariaci... No, a jeżeli cała Moskwa zwariowała, to gdzie ja pójdę. I, proszę bardzo, przestańcie krzyczeć. Co ja mam z tym wspólnego. Pankrat! — zawołał i nacisnął guzik.

Prawdopodobnie chciał, ażeby Pankrat uspokoił całe to zamieszanie, którego on w ogóle nie lubił. Lecz Pankrat nic już nie mógł poradzić. Łomotanie skończyło się tym, że drzwi instytutu rozwarły się i z daleka dobiegły wybuchy wystrzałów, a potem cały murowany gmach instytutu zagrzemiał tupaniem biegnących nóg, okrzykami, biciem szyb. Maria Stiepanowna uczepiła się rękawa Piersikowa i poczęła go gdzieś ciągnąć, on wyrywał się jej, wyprostował się

na całą wysokość, i, jak był w białym fartuchu, wyszedł na korytarz.

— No? — spytał. Drzwi roztworzyły się, i pierwsze, co ukazało się w drzwiach, to plecy wojskowego z malinową naszywką i gwiazdą na lewym rękawie. Cofał się od drzwi, na które napierał rozwścieczony tłum, plecami i strzelał z rewolweru. Potem zaczął uciekać obok Piersikowa, wołając do niego:

— Profesorze, niech pan się ratuje, więcej nic nie mogę zrobić.

Słowom jego odpowiedział pisk Marii Stepanowny. Wojskowy przebiegł obok Piersikowa, stojącego jak biały posąg i znikł w mroku krętych korytarzy w przeciwnym końcu gmachu. Ludzie wybiegli z drzwi, wyjąc:

— Bij go! Zabij...

— światowego zbrodniarza!...

— Tyś rozpuścił gady!...

Wykrzywione twarze, poszarpane ubrania zabiegały po korytarzach i ktoś wystrzelił. Zamigały kije. Piersikow cokolwiek cofnął się w tył, zamknął drzwi, prowadzące do gabinetu, gdzie

w przerażeniu na podłodze klęczała Maria Stepanowna, rozpostarłszy ręce, jak ukrzyżowana... nie chciał wpuścić tłumu i zawołał rozdrażniony:

— To formalny obłęd... wyście zupełnie jak dzikie zwierzęta. Co wam potrzeba? — Zawył: precz stąd! — i zakończył zdanie ostrym, wszystkim znanym okrzykiem — Pankrat, wypędź ich precz!

Lecz Pankrat nikogo już nie mógł wypędzić. Pankrat z rozbitą głową, podeptany i poszarpany na strzępy, leżał nieruchomo w westybulu i nowe tłumy pędziły obok niego, nie zwracając uwagi na strzelanie milicji na ulicy.

Niski człowiek, na małpich, krzywych nogach, w rozerwanej marynarce, w rozerwanym półkoszulku, przekrzywionym na bok, wyprzedził innych, dopadł do Piersikowa i strasznym uderzeniem pałki rozbił mu głowę. Piersikow zachwiał się, zaczął padać na bok i ostatnie słowa jego były:

— Pankrat... Pankrat...

Nic niewinną Marię Stiepanowną zabili i rozszarpali w gabinecie, kamerę, w której zgasł promień, rozbili na drzazgi, roznieśli terraria, wybiwszy i podeptawszy oszalałe żaby, rozmiażdżyli stoły szklane, rozmiażdżyli reflektory, a po godzinie instytut płonął, obok niego walały się trupy, otoczone szeregiem uzbrojonych w rewolwery elektryczne, i samochody straży ogniowej, czerpiące wodę z kranów, lały strumienie we wszystkie okna, z których z sykiem długo jeszcze wydobywały się płomienie.

ROZDZIAŁ XII. BÓG MROZU NA MASZYNIE

W nocy z 19 na 20 sierpnia 1928 roku zaplanował niesłychany, nigdy jeszcze nie notowany przez ludzi starych, mróz. Przyszedł i przetrwał dwa dni, dosięgając do 18 stopni. Zezwierzęciała Moskwa zamknęła wszystkie drzwi, wszystkie okna. Dopiero pod koniec trzeciego dnia zrozumiała ludność, że mróz uratował stolicę i te bezgraniczne przestrzenie, nad którymi pa-

nowała i na które spadła straszliwa klęska 2. roku. Armia konna pod Możajskiem, po utracie trzech czwartych swego składu, zaczęła słabnąć i eskadrille gazowe nie mogły powstrzymać posuwania się wstrętnych gadów, półkolem posuwających się z zachodu, południowo-zachodu i południa w kierunku na Moskwę.

Zadusił je mróz. Dwóch dni po 18 stopni nie wytrzymały obrzydliwe stada i w dniu 20 sierpnia, kiedy mróz znikł, pozostawiając tylko wilgoć i błoto, pozostawiając wilgoć w powietrzu, pozostawiając zwiędłą skutkiem nieoczekiwanego zimna zieleń na drzewach — walczyć już więcej nie było z kim. Klęska się skończyła. Lasy, pola, nieprzebyte błota były jeszcze zawałone różnobarwnymi jajami, pokrytymi czasami dziwnym, obcym, niewidzianym rysunkiem, który bez śladu zaginiony Rokk brał za brud, lecz jaja te były zupełnie nieszkodliwe. Były martwe, zarodki w nich zamordowane.

Nieprzejrzane przestrzenie ziemi gniły jeszcze długo od niezliczonych trupów krokodyli i żmij, powołanych do życia przez tajemni-

czy, zrodzony na ulicy Hercena w genialnych oczach promień, lecz nie były już one niebezpieczne, nietrwałe stworzenia zgniłych gorących błot podrównikowych zgniły w przeciągu dwóch dni, pozostawiając na przestrzeni trzech guberni straszliwy smród, rozkład i zgniliznę.

Panowały długo epidemie, panowały długo choroby zaraźliwe z trupów gadów i ludzi, i długo jeszcze chodziła armia, lecz już nie uzbrojona w gazy, a w narzędzie saperskie, cysterny naftowe i węże, oczyszczając ziemię. Oczyszczili i wszystko skończyło się na wiosnę.

A wiosną znów zatańczyła, zapłonęła i zakręciła się ogniami Moskwa, i znów jak dawniej huczał ruch pojazdów mechanicznych, i nad kopułą świątyni Chrystusa wisiał, jak na niteczce, sierp księżycowy, i na miejscu spalonego w sierpniu 1929 roku dwupiętrowego instytutu zbudowano nowy pałac zoologiczny i zarządzał nim prywat-docent Iwanow, lecz Piersikowa już nie było. Nigdy nie wznosił się przed oczami ludzi zgięty przekonywująco w haczyk palec i nikt więcej nie słyszał skrzypiącego kwa-

czącego głosu. O promieniu i katastrofie 2. roku jeszcze długo mówił i pisał cały świat, lecz potem imię profesora Włodzimierza Ipatiewicza Piersikowa okryło się mgłą i zgasło, jak zgasł i sam wynaleziony przez niego w noc kwietniową czerwony promień. Promienia zaś tego otrzymać na nowo nie udało się, choć niekiedy wytworny gentelman, i obecnie profesor zwyczajny, Piotr Stiepanowicz Iwanow, i próbował. Pierwszą kamerę zniszczył rozwścieczony tłum w noc zabójstwa Piersikowa. Trzy kamery spłonęły w Nikolskim sowchozie „Czerwony Promień” podczas pierwszej walki eskadrilli z gadami i odbudować ich nie udało się. Choć bardzo prostym było połączenie szyb z lustrzanymi pęczkami światła, nie skombinowano go po raz drugi, pomimo wszelkie starania⁹⁹ Iwanowa. Widocznie dla tego potrzebne było coś szczególnego oprócz wiedzy, co posiadał na całym świecie jeden tylko człowiek — zmarły profesor Włodzimierz Ipatiewicz Piersikow.

⁹⁹*pomimo wszelkie starania* — dziś popr.: pomimo wszelkich starań. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bulhakow-fatalne-jaja>

Tekst opracowany na podstawie: Michaił Bułhakow, Fatalne jaja, tłum. E. Jezierski, Biblioteka Nowości w Warszawie, wyd. Stanisław Cukrowski, Warszawa 1928.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

Publikację wsparli i wsparły: Paweł Wieczorek, Paweł, DeeJay1, Paweł Krawczyk, nakloff, szarki, mb, bkmn, OFOP, NN :) , Lasek, ihor, Jakub, mc, luukii, Yuuki-Saya, kornik, Bartosz, Zoe, Michał, Dobrovia, Buka.

Okładka na podstawie: Portret dr Ludwika Rydygiera z asystentami, Wyczółkowski, Leon (1852-1936), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0118-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
MICHAŁ BULHAKOW *Fatalne jaja*

173

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.